

# PRZE

# KRO

## WIELKI KONKURS i ANKIETA z NAGRODAMI

(MOTOCYKL, RADIO, 2 ROWERY, WEŁNA 100% NA UBRANIE, ANANAS W PUSZCE, — 105 nagród)

DZIŚ  
24 STRONY:

MEISSNER • KOŹNIEWSKI • BUDREWICZ • KAMYCZEK • KER  
GRODZIĘNSKA • MINKIEWICZ • ZIENTAROWA • WIEC

Na okładce  
rysunek Ha-Gi

Reportaże z Paryża i Moskwy • Artykuły o narko  
zie, trzęsieniach ziemi, o księżcu Windsor • Cykl ry  
sunków A. Uniechowskiego o Stefanie Żeromskim

NUMER 506-507 GRUDZIEŃ 1954 CENA 1.80 ZŁ



**PO**

**KOCHANOWSKIM i MICKIEWICZU** trudno jeszcze mówić o zdrowiu, które „ile cenić trzeba, ten tylko się dowie, kto je stracił” — mówić tak, aby to nie było banałem. Ale właśnie teraz porównanie to ciśnie się samo pod pióro. Od wielu miesięcy przywykliśmy żyć w zdrowszej, spokojniejszej atmosferze międzynarodowej, spodziewać się postępującego odprężenia i utrwalenia pokoju. Groźbę ponownego zatrućia tej atmosfery, nowego naprężenia i w konsekwencji groźbę utraty naszego pokoju, odczuwamy szczególnie mocno i boleśnie.

Miliony ludzi w ciągu miesięcy, jakie upłynęły od zakończenia wojny w Korei, oraz odkąd umilkły działa w ostatnim teatrze wojny — Indochinach, nauczyły się podwójnie cenić pokój. I z podwójną siłą odczuły miliony ludzi zamach na sprawę pokoju, jakim jest zmowa mocarstw zachodnich, zmierzająca do uzbrojenia następców Hitlera. Jakież reakcje ze strony milionów ludzi w różnych krajach Europy i świata mogą się w tych warunkach spodziewać spiskowcy przeciw pokojowi? Tą reakcją może być tylko umocnienie pragnienia pokoju i wzmożenie walki o pokój. Ludzie, którzy poznali i nauczyli się cenić przedsmak trwałszego pokojowego współistnienia, niełatwo dadzą sobie narzucić decyzje, grożące odebraniem im nadziei na upragniony trwały pokój. Tym bardziej, gdy decyzją taką ma być uzbrojenie nowego Wehrmachtu. Jest to bezspornie decyzja najmniej popularna dla najbardziej nawet otumanionego obłudną propagandą mieszkańca Paryża, Londynu, Brukseli, Rzymu. A także dla mieszkańca Berlina, który nie zapomniał co to wojenna kłeska — o mieszkańcach Warszawy nawet nie wspominając.

Więc jakżeż można by przypuścić, że miliony ludzi, którzy znają cenę pokoju i w których miesiące ubiegłe umocniły wiarę w możliwość utrwalenia pokoju — pozwolą sobie biernie narzucić najniebezpieczniejsze dla sprawy pokoju decyzje? Walka przeciw remilitaryzacji Niemiec Zachodnich i przeciw jej konsekwencjom toczyła się przed debatami ratyfikacyjnymi w zachodnich parlamentach, będzie się toczyła w czasie debat i po debatach — niezależnie od ich wyników. Będzie się toczyła w każdym warunkach na wszystkich polach, wszelkimi i środkami jakich wymagać będzie sytuacja. Miliony ludzi wiedzą, że w tej walce idzie o to, by nigdy nie zawtórowały jej działa.

Co do nas — nasza troska nie może odebrać nam naszego spokoju. Niedar-

mo tak często słyszeć dziś można w Polsce pewne i spokojne słowa: „Rok 1939 się nie powtórzy”. Jest w tych słowach dumne poczucie własnej siły i świadomość potęgi naszych wielkich sojuszników. A w prasie amerykańskiej czytać można było niedawno charakterystyczne „przestrogi” pod adresem zachodnich polityków. Mianowicie, że nawet niechętnym władzy ludowej Polakom musi się dziś samo narzucać przekonanie, iż tylko polityka ZSRR, przeciwstawiając się odrodzeniu niemieckiego militarysty, chroni polskie granice i polskie narodowe interesy...

Alte słowom „rok 1939 się nie powtórzy” można przydać także i inne znaczenie. Przed rokiem 1939 był 1933 — rok dojścia Hitlera do władzy. Postępując się pewnym skrótem myślowym, można by powiedzieć, że świat znajduje się dziś raczej jakby w sytuacji 1932 roku, kiedy ciągle nie jest za późno na zażegnanie niebezpieczeństwa w zarodku. Dziś obrońcy pokoju liczniejsi o setki milionów, mądrzejsi o doświadczenie dziejowe, silniejsi o potęgę obozu socjalizmu jakiej nie znały dzieje — walczą o to, by z awczasu nie dopuścić do powstania w Niemczech sytuacji, w której remilitaryzacja i rehitleryzacja mogłaby pociągnąć za sobą znane z historii konsekwencje. W części Niemiec, tej zachodniej, gdyż z nami jest część pozostała, stanowiąca punkt oparcia dla wszystkiego, co w Niemczech pokojowe i postępowe. Z nami są potężne, nieporównanie aktywniejsze i lepiej zorganizowane niż przed laty, pokojowe i postępowe siły wewnętrzne każdego kraju po tamtej stronie. Nie wyczerpały one bynajmniej jeszcze całej swej energii i wszystkich swych możliwości działania. I z nami jest potęga obronna krajów naszego obozu. Możliwości jej wzmocnienia również bynajmniej wyczerpane jeszcze nie zostały, a pamięć o tym skutecznie trzeźwi i trzeźwić będzie zapalone głowy awanturników.

Nie odtworzą więc obecnej sytuacji myślowe skróty i historyczne analogie. Historia potoczyła się daleko naprzód i żadne wysiłki wrogów pokoju nie cofną jej w biegu. Jej niepowstrzymany bieg obudził nadzieje milionów ludzi na zdrowe lata życia i pokoju. Tej nadziei nie pozwolą oni sobie odebrać i nie brakuje sił, które nadzieje te pozwolą urzeczywistnić. A w potrzebie siły te mogą odrzucić w wszelkie wrogie zakusy.

I dlatego z zupełnym spokojem o schyłku dziesiątego roku nowej Polski kładziemy — ot, obok nad artykułem o niektórych problemach naszej pokojowej przyszłości — tytuł: „Rok jedenasty i lata następne“.

**K**

**O** STO METRÓW — o dwa kroki — na północ od warszawskiego Placu Konstytucji, wybudowanego w 1952 roku, na rogu ulic Marszałkowskiej i Wilczej stoi nowoczesna, wysoka, jasna i piękna „emdeemowska” kamienica mieszkalna. Proszę przejść przez jej bramę — wysoką, obszerną, godną domu.

Oto wkraczamy w krainę cienia, wiecznego chłodu. Choćby dzień był najpiękniejszy słońce tu nie dochodzi. Jesteśmy raptem w typowym podwórzu, jakim przed pięćdziesięciu laty obdarzali kamienicznicy lokatorów swych „czynszówek”. Jesteśmy w tylekroć krytykowanej „studni”, gdzie cały dzień i cały rok słońce nie dociera do mieszkań parteru, pierwszego a nawet drugiego piętra. A stało się tak dlatego, że dom nowy, zbyt blisko stojąc starego, ocalonego z pożogi, utworzył taką studnię. Według planów budowniczych MDM dom stary ulegnie rozbiórce. Wtedy dom nowy uzyska światło i powietrze wymagane dla wszystkich mieszkań socjalistycznego budownictwa.

Sto metrów na wschód od Placu Konstytucji — można zobaczyć architektoniczną groteskę: narożnik dużego, nowego gmachu „włazł” na mały budynek. Budynek też będzie rozebrany. Gdy to się stanie, dopiero gmach ambasady rumuńskiej uzyska swój architektoniczny sens.

Sto metrów — na południe od placu Konstytucji inny gmach zbudowany przy ulicy Marszałkowskiej dokleja się swoimi oknami do okien starej lecznicy Ministerstwa Zdrowia. W efekcie ani w mieszkaniach „od Marszałkowskiej” ani w pokojach lecznicy nie ma słońca, a tak bliskie sąsiedztwo okien utrudnia życie. W tym domu mieszka jeden z wiceministrów. Może mu to przypomina codziennie rano i wieczorem, że budowa socjalizmu nie jest sprawą szybką.

Sto metrów — dwa kroki — na zachód od placu Konstytucji niemal identyczna sytuacja powstała na ulicy Nowowiejskiej, gdzie nowy gmach mieszkaniowy MDM-u, wypycha się na budynek schroniska starsów.

A w promieniu stu metrów dookoła placu Konstytucji (niestety nie tylko stu metrów i nie tylko placu Konstytucji!) — plac budowy graniczny ze śmietnikiem. Piękne klatki schodowe pokryte są stertami śmieci. Latami leżą błotniste bryje, których nikt nie przykrywa chodnikiem. Nowe domy sąsiadują z rudarami. Fasady domów od strony Marszałkowskiej pokryte są szlachetnymi tynkami — ich tyły rażą gołizną żywych, czerwonnych murów. Sto metrów od jasnego placu Konstytucji, w kiepsko oświetlonych ulicach wieczorami awanturują się grupy młodocianych chuliganów...

Plac MDM-u nosi dumną, symboliczną nazwę: Konstytucji. Konstytucji wytyczającej zasady, według których żyć ma społeczeństwo budujące socjalizm. Nawet w spalonym, odbudowanym mieście, nowe domy ustawiamy obok starych, stare przeskadzają często tym nowym. A i w nowych domach, których ciągle nie umiemy wykończyć, powstają nowe śmietniska. W ciągu dziesięciu lat wyrosło już nowe pokolenie — dwudziestolatki mieli w 1945 roku lat dziesięć zaledwie! I okazało się, że to nowe, już w Polsce Ludowej wychowane pokolenie następcze nowe poważne troski, że niejedno tam trzeba wymieść i uprzątnąć

Sto metrów od placu Konstytucji... Dość! Nie o wyliczanie faktów pospolicie nam znanych chodzi mi teraz. Stoimy na progu dru-

NAJSERDECZNIEJSZE ŻYCZENIA

ŚWIĄTECZNE i NOWOROCZNE

PRZESYŁA WSZYSTKIM CZYTELNIKOM

„PRZEKRÓJ”



# ROK JEDENASTY I NASTĘPNE...

giego dziesięciolecia budowy socjalizmu w Polsce. Warto się zorientować wśród problemów, z którymi wkraczamy w drugie dziesięciolecie oraz zdać sobie sprawę z sił, jakimi dysponujemy. Przełom naszych dziesięcioleci bynajmniej nie z jubileuszowo-kalendarzowych przyczyn jest równocześnie pewnym słupem milowym na drodze budowania w Polsce — i nie tylko w Polsce — socjalizmu.

Drugiego dziesięciolecia bynajmniej nie rozpoczynamy przy dźwiękach puzonów i fanfar ogłuszających nas melodiami bezmyślnej radości.

Już od wielu miesięcy toczy się na przykład wielka dyskusja o wychowaniu i kształceniu naszej młodzieży. Padają nader ostre zarzuty pod adresem ZMP, oskarżonego po prostu o nieudolność i zaprzeczanie poważnych szans pedagogicznych, jakimi ten Zwią-

zlikwidowaliśmy analfabetyzm, kadłubowe szkolnictwo wiejskie, rozbudowaliśmy wielokrotnie szkolnictwo wyższe, jednym słowem położyliśmy najważniejsze fundamenty prawdziwej kultury i cywilizacji. Ale nie zawsze potrafilimy wychować młodych do używania nabywanej wiedzy w sposób dla każdego z nich i dla całego społeczeństwa korzystny, nie zawsze potrafilimy ich uodpornić przeciw demoralizacji. Dwa kroki za nową szkołą niektórzy jej uczniowie chuliganują się w ciemnej ulicy, niszczą dobro społeczne. Problemy wychowawcze będą naczelną troską nadchodzącego dziesięciolecia.

Inny przykład: działalność naszej służby bezpieczeństwa uchroniła nas przed krwawą wojną domową, strzegła przez dziesięć długich lat naszego budownictwa przed sabotażem, pozwoliła nam

sunku do nas wszelkie władze tych praw przestrzegały.

...Więc dwa lata temu uchwaliliśmy Konstytucję, wytyczającą kierunek i ramy nowego życia społecznego. Od lat dziesięciu ramy te wypełniamy treścią — bardzo oczywistą. Zbudowaliśmy silne państwo ludowe. Dokonałiśmy ogromnego wysiłku ideowego i ekonomicznego. Wielkim wysiłkiem każdego z nas (potężne inwestycje państwowe obciążają przecież nasz prywatny, indywidualny, codzienny budżet) — przesunęliśmy akcent ekonomiczny naszego państwa z rolniczego na przemysłowy a i w rolnictwie zapoczątkowaliśmy zdecydowany zwrot ku nowym, postępowym formom. Podnieśliśmy z ruin Warszawę — i nie tylko Warszawę — choć nie udało nam się jeszcze odbudować wszystkich zrujnowanych wojną miast. Zrealizowaliśmy rzeczywistą powszechność oświaty i realizujemy rzeczywistą powszechność kultury. Jednak budżet dziesięciolecia księgował nie tylko osiągnięcia i zwycięstwa, ale błędy i porażki. O dwa kroki od głównego, Konstytucyjnego wytyczonego, nurtu naszego życia, jak na kłatkach schodowych MDM-owskich bloków znalazło się też i sporo śmiecia. Zadaniem drugich dziesięciu lat jest nie tylko wymieść do końca śmiecie, które się nazbierało, ale dbać o to, by nie naleciało nowe.

Dzień dzisiejszy, poprzedzający rok jedenasty Polski Ludowej — wypełniony jest tak żywymi dyskusjami, jak żadne jeszcze z lat poprzednich.

Dyskutują dziennikarze i pisarze niezadowoleni z dotychczasowego stanu ich kontaktu z czytelnikami — choć czytelnictwo książek i czasopism wzrosło wielokrotnie w stosunku do czasów przedwojennych i choć w sposób zasadniczy i słuszny zmieniła się zawartość ideowa czytanych książek i gazet.

Dyskutują oświatowcy i wychowawcy niezadowoleni z wychowania młodzieży — choć kształcimy całą młodzież.

Dyskutują prawnicy i politycy zgłaszając zastrzeżenia pod adresem naszej służby bezpieczeństwa publicznego — choć dobrze stała ona na straży naszych domów przez całe dziesięć lat.

Dyskutują architekci i mieszkańcy miast niezadowoleni, i słusznie niezadowoleni, ze stanu naszego budownictwa i to zarówno stanu użytkowego jak estetycznego — choć odbudowaliśmy Warszawę, a w całym kraju rocznie buduje się tyle nowych domów i izb, ile nie budowano w żadnym z lat przedwojennych.

Postawiliśmy na Wielkim Cenzurowanym pracę naszej wytwórczości konsumpcyjnej, lekkiego przemysłu, sieci usługowej, rzemiosła i tego wszystkiego co służy bezpośrednio człowiekowi w jego codziennym dniu. ...Bania wielkich dysput rozbiła się nad naszym krajem. Dysput ostrych, w których więcej krytyki błędów niż pochwały osiągnięć — ale realizujących postulat krytyki konstruktywnej, takiej którą wychodzi z naszych podstaw ideowych, która chce aby było lepiej niż dotąd.

Drugie dziesięciolecie ma być bowiem różne od dziesięciolecia pierwszego. Różne — o zasadnicze uporządkowanie naszego ludowego gospodarstwa. Myślę, że nie jest przypadkowa zbieżność tych

wielkich dyskusji z wyborami do rad narodowych. Tej zbieżności nie uchwalili Komitet Centralny ani Rząd. Ona wynikała poza wszelkim kalendarzem wyborczym — z narzmienia trosk i problemów. Prostu z chwilą zakończenia pewnego etapu socjalistycznego budownictwa, gdy tak wiele nowego stworzyliśmy w naszym kraju — powstał w nas naturalny niedosyt, naturalna potrzeba głębszej treści życia. Uznaliśmy, że toczy się ono zbyt płytkim nurtem, choć w dobrym kierunku, w nowym, mocno ocebrowanym łożysku.

Wołanie o jakość, która winna towarzyszyć ilości już od dawna rozlegało się wśród nas. Ale chyba nigdy jeszcze to wołanie o jakość nie dotyczyło w tym stopniu spraw zasadniczych, jak dotyczy teraz. Już nie chodzi tylko o jakość mebli, ubrań i mieszkani ale o jakość stosunków układających się między ludźmi w naszym społeczeństwie.

Tę nową wyższą jakość mają realizować w swej pracy właśnie nowowybrane rady narodowe — dlatego toczące się dyskusje koordynują ją z duchem wyborów do nich. Ta jakość winno być przepojone wychowanie młodego pokolenia. Ta jakość domaga się pełnej praworządności.

Ta jakość wreszcie — i tu dochodzimy do spraw przemysłowych — nie pozwala na brakorobstwo i marnotrawstwo. Ostatecznie — bądźmy szczerzy — brakorobstwo i marnotrawstwo nie jest niczym innym, tylko prostą funkcją stosunków istniejących między jednostką a społeczeństwem. Jest funkcją elementarnej uczciwości. Zagadnienie uczciwości społecznej — pojęte bardzo generalnie, ale równocześnie bardzo wnikliwie — będzie napewno, po dyskusji wychowawczej, następnym wielkim tematem naszego wspólnego niepokoju — iść jestem gotów o zakład!

Po raz pierwszy w dziejach naszego narodu szerokie masy doszły do władzy i do kultury. Ani sprawowanie władzy ani korzystanie z kultury nie jest rzeczą łatwą. Władzy trzeba umieć używać. Kulturę trzeba umieć konsumować. Drugie dziesięciolecie naszego ludowego państwa rozpoczynamy widząc przed sobą wielkie zadanie. A tym zadaniem jest: nauczyć samych siebie najlepszego życia w stwarzanych i tworzących się nowych warunkach społecznych, wychowywać samych siebie i swe dzieci do życia lepszego i piękniejszego.

\*

Wiemy, że o dwa kroki od pięknego placu Konstytucji stoją rudery, które jeszcze musimy czas jakiś tolerować. Wiemy, że w nowych domach źle działają urządzenia i zaśmiecone są klatki schodowe.

Ale też wiemy, że stare rudery będą zburzone i że nowe domy będą budowane w coraz to większych ilościach i coraz piękniejsze. Uczymy się teraz wszyscy razem żeby budować je bez braków i żeby mieszkający w nich lokatorzy umieli w nich mieszkać — tak, by wszystkim było dobrze.

By wszystkim było naprawdę dobrze! — oto wspólny ton tych szczerzych dysput, z którymi wkraczamy w rok jedenasty i w następne lata Polski Socjalistycznej.

KAZIMIERZ KOŃNIEWSKI



zek dysponować może. Dyskusja przybiera na ostrości. Należy stwierdzić, że lekkomyślne ferowanie wyroków generalizujących na całą młodzież — jest równie szkodliwe, jak sciszanie zarzutów w imię taniutkiego optymizmu. Stosowane przez naszą organizację i naszą szkołę metody wychowawcze nie są wcale doskonałe. Przeladowanie młodzieży wychowaniem wyłącznie politycznym, pojętym nazbyt jednostronnie, nie daje dobrych rezultatów. Okazało się, że istnieje nierównomierność w osiągnięciach gospodarczych, cywilizacyjnych, oświatowych — i wychowawczych. Socjalizm wypracował jak dotąd doskonalsze systemy ekonomiczne niż pedagogiczne. Z tego zdajemy sobie coraz lepiej sprawę. To leży u źródła ożywionych dyskusji pedagogicznych, toczących się obecnie także w Związku Radzieckim.

My wkraczamy w drugie dziesięciolecie (w życiu młodzieży rozpoczynane II Zjazdem ZMP), przy akompaniamentem gorącej dyskusji nad zagadnieniami wychowawczymi. Potrafilimy w ciągu dziesięciu lat wykonać gigantyczną pracę oświatową — udostępniłiśmy całej polskiej młodzieży każdą formę nauki i awansu społecznego,

pracować w spokoju i pokoju. — To należy powiedzieć wyraźnie. Popelnione jednak zostały także poważne błędy. Zdarzyły się wypadki poważnego naruszenia praworządności ludowej. Obok winowajców świadomych działających popełniających błędy w tym przekonaniu, iż działając złymi, niesprawiedliwymi metodami można osiągnąć korzystne dla sprawy socjalizmu rezultaty. Partia i Rząd wyciągnęły konsekwencje. Celem stworzenia warunków najlepszego i bezbłędного funkcjonowania aparatu bezpieczeństwa powołane zostały dwa nowe urzędy państwowe. Nie wypełnią jednak do końca swych obowiązków, jeżeli wszystkie organa władzy ludowej i wszystkie organa opinii publicznej, rady narodowe wszystkich szczebli, gazety i pisma, wszyscy wreszcie obywatele nie będą wspólnie strzec dobroku naszego ludowego państwa i zasad ludowej praworządności. Porządek w kraju, bezpieczeństwo kraju, poczucie praworządności, przenikające każdego obywatela, są naszą wspólną troską. My wszyscy musimy nauczyć się niezwłocznie przestrzegać w życiu codziennym praw Rzeczypospolitej Ludowej i postulat ten musi być równie oczywisty jak to, by w sto-



# MŁODY ŻEROMSKI W WARSZAWIE 1886-7

RYUNKI ANTONIEGO UNIECHOWSKIEGO • TEKSTY Z „DZIENNIKÓW”

W SIERPNIU 1886 roku na Dworcu Terespolskim w Warszawie oglądać można było scenę taką, jak na rysunku Antoniego Uniechowskiego obok. Do stolicy „Kraju Przywiślańskiego” przybył 22-letni młody człowiek, niedoszły maturzysta, kandydat na studenta weterynarii, bo tam przyjmowano i bez matury. Był biedny jak mysz kościel-

na, zdolny i ambitny. Miał zwyczaj notować co dnia w swym dzienniczku, co przeżył i widział, co czuł i myślał. Obyczajowość lat osiemdziesiątych, ich nastroj, wielka bieda i wielka miłość, bunt przeciw otaczającej niesprawiedliwości i małości, poszukiwanie nowych idei — wszystko to znalazło wierne odbicie w małych, wypełnionych starannym

pismem dzienniczkach. Już one same zapewniłyby autorowi miejsce w naszej literaturze. A ileż znajdziemy w nich myśli, obrazów i sytuacji, dobrze znanych z naszych ulubionych książek — bo przeniesionych potem przez autora dzienników do jego późniejszych utworów. Owym młodym pamiętnikarzem był bowiem — Stefan Żeromski.



**D**ZIEN był przecudowny, pierwszy wiosenny dzień. Rozleniwiające, rozmarzające ciepło, tłoczące się w piersi radością, odwagą, śpiewem, czuciem. Egzaminami zapachniało... Anatomię mieliśmy w prosektorium, w tym

trupim zapachu; czapki na bakiery, papierosy w zębach, Izmajłowa w fartuchu ze skalpelami, szczypcami, sondami, stół sekcyjny. Mówił o krtani, organach głosu... Ścisł ogromny, studentów masa, pchają się jeden drugiemu na głowę.



**B**YLEM dziś po lekcjach w redakcji „Gazety Polskiej”... Złazę... ze schodów i spotykam... Prusa. Idzie sobie bardzo wolno, łaskę trzyma w obu rękach i patrzy zza okularów. Oczy ma tak gdzieś głęboko osadzone, jakby

były gdzieś w środku głowy. A miły taki ma wygląd. Włosy siwiejące, futro rozpięte, wielkie kalosze zabłocone po literacku. Niepozorna taka kreaturka — a to Prus, ten wielki psycholog ludu, ten optymista i satyryk nasz.



**T**RAFIŁA mi się wczoraj dzieki Ch. korepetycja... Poszedłem wtedy. Odnalazłem wreszcie wskazany nr 39 i mieszkanie właściciela domu p. Klippela. Przeszedłem brudny przedpokój i wprowadzony zostałem przez pewnego rodzaju służącą do salonu. Tam spotkałem się oko w oko z panią domu. Tustawa jejmość, lat pod 50, nie wiedziała, co zrobić ze swoją i moją osobą, wysłuchała więc mojej tyrady rekomendacyjnej, uśmiechnęła się mętnie, wreszcie pociągnęła mię za sobą do szynkowniczego jeszcze salonu. Pół pokoju zaśleciała dywan, modne aksamiotne meble, obrazy... Jejmość podszła do kanapy i zaczęła poruszać leżącą szarą masę, której nie dostrzegłem w mroku zalegającym pokój. Był to pan Klippel. Obudził się po długotrwałych i dość nietkliwych ekscytacjach żony i zjawił się przede mną. Niskie czoło, twarz brudna koloru rzeczy, włosy matowożółte, ubrany jak handlarz wieprzków w Bodzentynie; kacabaja dłu-

ga do kolan z sukna używanego przeważnie przez młynarzy, długie buty, zabłocone tak, jakby przechodził w bród Wisłę, tuste, olbrzymie, wielkości małych poduszek łapy, ubrudzone w żółtej farbie, na palcu widzieć się dają szeroki, w kształcie herbowego sygneta żelazny pierścień. Obudziliśmy się zgłupiał przede wszystkim... Mruzczał coś, klepał się po kolanie, uśmiechał głupkowato.

— II... owszem, ii... owszem — ahaa...

— Ile pan dobrodziej wymagać będzie godzin zajęcia?

— A — no... jedną, jedną jedyną, łaciny niby, no i z drugim tego, z realnej szkoły...

— Zawsze więc zejdzie z półtorę?

— A no — niby. Ileżby pan wy magał?

— Myśle, że dziesięć rubli nie będzie wiele.

— A! panie! Czasy okropne, bieda, panie!



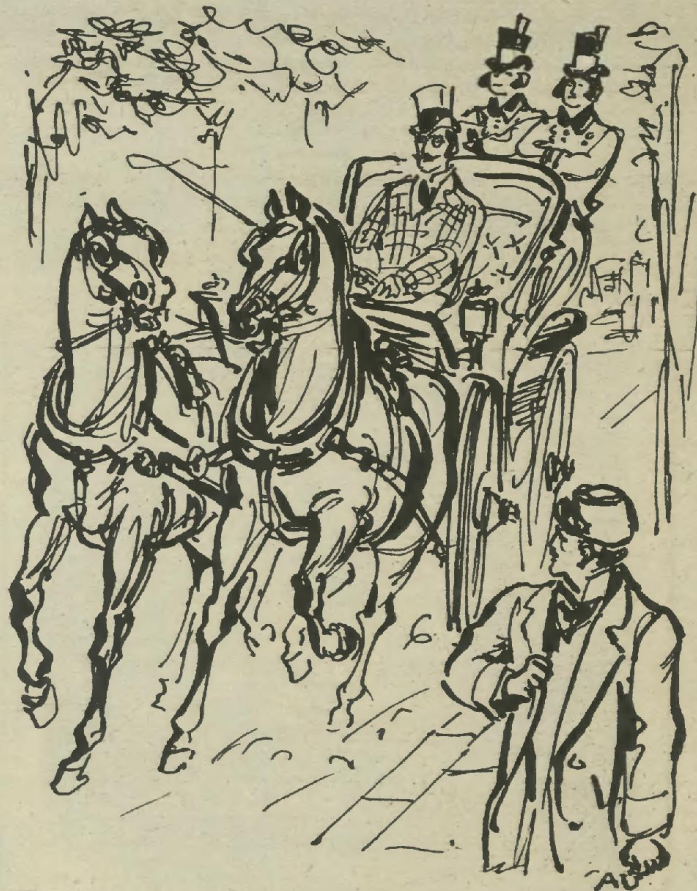
**P** OSZEDŁEM kiedyś na ulicę Książęcą, Ludną, Solec, aby przyjrzeć się lepiej temu miastu. Było południe. Z fabryki lokomotyw, gazu świetlnego, z fabryki chemicznej, z młynów parowych, z fabryki odlewów — dają się słyszeć świstawki, dzwonki. Z fabryk wysypują się tysiące robotników. Na ulicach robi się ludno, niby w czasie pożaru: biegną wszyscy, popychają się, śpieszą. Ich olbrzymie mięśnie, szerokie twarze, wielkie ręce, szerokie ramiona, żywe, bystre, prze-

nikające oczy, niebieskie bluzy — zlewają się w jedną masę. Jest to bezlitosny zastęp — ludzie żelaza...

Młodzi biegną z blaszankami, mającymi jeden kształt, mniej więcej podobny do naftowych lampek blaszanych. Przynoszą sobie w tym kawę, mleko. Pod murem szpitala św. Łazarza siadają na obiad całe gromady. Żony, córki, siostry... przynoszą im tam jeść. Jedzą na zimnie, na wietrze z odkrytymi głowami. Kasza z mlekiem w jednym garnuszku, kartofle w drugim...

**F** AKT niezmierniej doniosłości! Jadłem wczoraj obiad w Taniej Kuchni. Ale za jaką cenę?! Za cenę „Poezji” Kościelskiego, „Psychologii pozytywnej w Anglii” Ribota, „Odrodzenia i reformacji w Polsce” Szujskiego etc., które sprzedałem za 3 złote polskie groszy 20 — antykwariuszowi z Chmielnej.

Po obiedzie, jak porządny obywatel warszawski, poszedłem w Aleje. Tłum pojazdów, powozów, procesja wystrójonych dam, uśmiechy, wesołość, szczęście. Gucio Potocki w factonie z groomami, kolega mój — Kiczorowski — rozparty w karecie, ja tylko jeden tam byłem w najwzyczajniej dziurawych butach... Nędzarze — czy nędzniczy?



**W** NIEDZIELĘ była rocznica śmierci Mickiewicza — postanowiono ją obchodzić tym bardziej, że jest ona zarazem pierwszą rocznicą Koła...

U Soplicy szkic mój wygładziłem, dałem mu inne zakończenie i ruszyliśmy w Wackiem o siódmej...

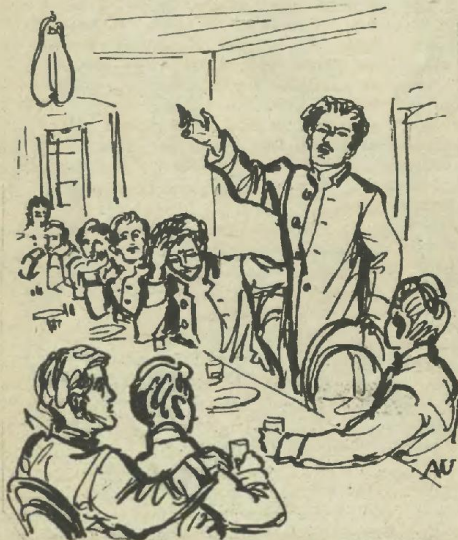
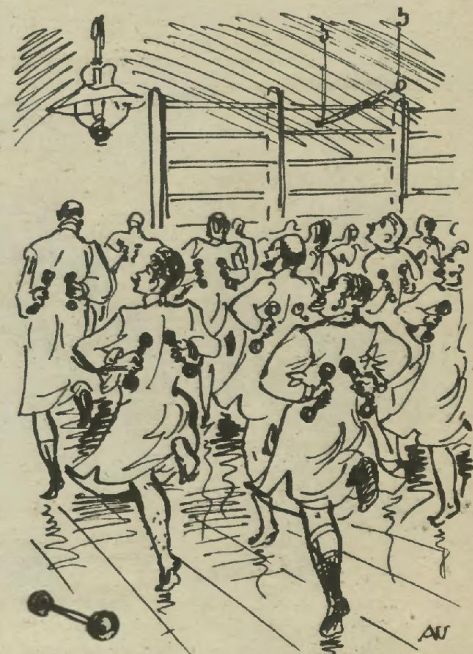
Zasiadłem, przeczytałem i dobrze to przyjęto... Wreszcie... deklamacja. Pierwszy raz w życiu chciałem gadać... Ustęp z „Maratonu”, „Grób Agamemnona”, „List do matki”, wreszcie bajkę „Pan i świnia”. Dostałem po ostatniej bajce przerażające brawo... Zawrzało! Spiewać!...

„Z dymem pożarów”, „Boże coś Polskę”, „Nie dbam jaka spadnie kara”. Czterdzieści głosów zanuciło w... Warszawie te pieśni!



**G** DY W CZORAJ szedłem na obiad — na Św. Krzyskiej, obok poczty spotkałem moją, tak dawno niewidzianą panienczkę. Wszystkie pieniądze oddałbym był za to jedno jej spojrzenie. Byłem zamyślony, patrzyłem w chodnik. Ona szła po drugiej stronie ulicy. Ze szła na mój trotuar, bo zauważyłem ją wtedy, gdy stanęła niemal przede mną. Śmiała się i spuściła niezwłocznie głowę. Ma nowy kapelusz i jasny króciutki żupanik z kieszeniami na bokach, w które od czasu do czasu kładzie ręce. Suknia czarna. Wydaje się wyższą i... taka jest elegancka niebywała w tym ubraniu. Poeciłem jak szalony i natrętnie zajrzałem jej w oczy, gdy czytała afisz na rogu Marszałkowskiej. Roześmiała się. Gdyby mi казаła umrzeć — anibyłem się namyślał za jeden ten uśmiech. Skąd jej się to wzięło? Czyżby mi chciała kokietać? Potem poszła Marszałkowską, zatrzymała się przed przejeżdżającym tramwajem. Zawróciła na Złotą. Na rogu obejrzała się. Nie umiem opisać tego nie uśmiechu — ale śmiechu. Śmieją się tak małe dziewczynki, gdy udają dorosłe panny. Jest w tym wesołość i jakaś święta i jawna kokieteria. Jest w tym i szczęście. Na Zielnej zerwał jej wiatr kapelusz. Kłąłem sobie przez cały dzień i przeklinałem się dotąd, że nie zdążyłem podbiec na czas.

**N** A LEKCJI drugiej gimnastyki nauczono mię wsiadać na koń z najrozmaitszymi sprzynkami. Ból mięśni... po rozpaczliwych wywijaniach hantlami znikł. Z piersi przeniósł się do brzucha... Zniknie i to, gdy szczerzej popracuję na trapezach i linie. Zabawny widok musi przedstawiać 20 facetów w koszulach, podskakujących na jednej nodze lub bijących się piętami w siedzenie, podczas gdy hantle trzymają się między łopatkami. Nieraz ogarnia wszystkich szczerza wesołość.





**P**OSZEDŁEM wczoraj spać o czwartej w nocy, a obudzono mię dziś o piątej rano. Ludwik, Edward, Tadeusz i Stach — przyszli mię zbudzić, wyciągnęli z łóżka i kazali iść ze sobą do Wilanowa.

...Trzeba mieć wielki zasób historycznej wiedzy, doskonały smak artystyczny, znajomość ducha epoki, aby choć blade opisać wszystko, co się tam rzuca w oczy. Wspaniały jest ten pałac. Czujesz tu dłoń hojnego mocarza, wielkiego króla — nie zblazowany smak Stanisława Augusta. Z pałacu wilanowskiego wieje echo potęgi tego pana, co hojnie rzucał

światu dobrodziejstwa — a tu na stare lata zbudował sobie siedlisko i zmieścił w nim wszystko, co tylko mógł mieć wtedy przepych królewski. Szybko mijaliśmy te sale. Zamarla przeszłość wieje z każdego gobelinu, z każdej majoliki, z krzesła i kanap, ze stołów i biurka.

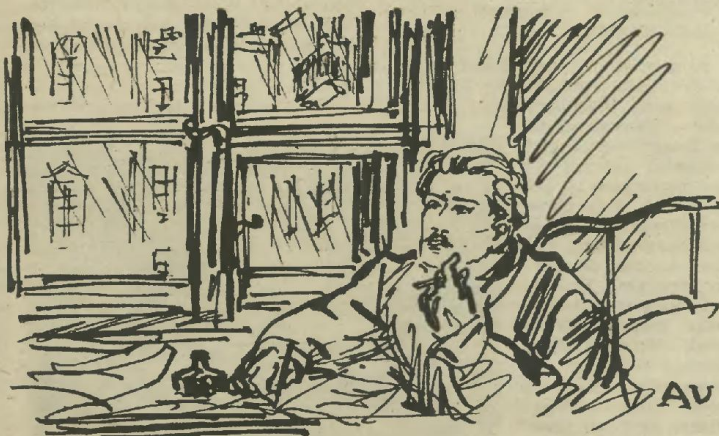
...Tam wiszą portrety wodzów, tu przesłizne rzeźby, tu wspaniałe gobeliny. Każdy z tych przedmiotów wtrąca cię w inną sferę, unosi dokądś na chwilę — a wszystko odziane tajemniczą, mglistą czcią i żalem. Tak byli wielcy, tak bogaci — i nie zostawili nam nic, nic prócz żalu po nich!

**N**IE JEM... nic. Rano zjadłem kawałek suchego chleba i byłem o nim do wieczora. Wstaję późno, aby jak najkrótszym dzień uczynić. Wytrwały jestem bądź co bądź. Nauczyłem się śmiać tym śmiechem, w którym nie ma ani skry wesołości, który jest milion razy smutniejszy od lez. Ostatecznie głód znieść można i ani bym wspominał o nim, gdyby nie to, że wiąże się z nim samotność okropna, zabójcza. Wchodzę do mieszkania, zastaję Soplęcę — milczymy przez cały dzień. W końcu ja lub on — wychodzimy. Idę do Otosia. Tamten jest idiotyczny na wszystkich pun-

ktach. Mówić z nim nie mogę, bo mię to męczy. Zaczyna się czysto fizycznej natury rozdrażnienie nerwów...

Budzę się rano: wody nie ma do mycia, bo Soplica zwy-myślał stróżkę, która nam u-sługiwała — nie myję się więc wcale. Herbaty już nie piłem ze trzy dni. Chleba nie ma zupełnie — ach — to pot-worne, brudne, wstrętne, o-brzydliwe, obrzydliwe!

...Kiedy, zgłodniały, przechodzę koło masarni lub sklepu z bułkami, zatrzymuję się i marzę, najzupełniej marzę o jedzeniu. Rozmyślam nad tym, jakbym rwał zębami te całe kawały mięsa.



**J**AKZE ciemno w tym pokoju, choć jest zaledwie godzina trzecia po południu! Olbrzymie deszczowe krople spadają z wysokości, bulgocząc w kałuży sfornowanej na środku naszego podwórza, wytwarzając wielkie bańki, jakby w tym błocie igrały roje małych, igrających w słońcu rybek. Mrok tu jest taki, że niepodobna odróżniać liter książki, jaką czytałem, szyby zamazał deszcz jakimiś podłużnymi, równoleg-

łymi linijkami, jak gdyby kto umazanymi w błocie palcami uczył się na nich geometrii. Zabawne jest to miniaturowe niebo, jakie widać stąd: podobne do ścierki zamazanej tak, że utraciła kolor. Wróciłem niedawno z obiadu, kamaski przemoknięte, albowiem w podszwach są niebezpieczne dziury, pożyczany płaszcz przemoknięty, zimno — i nieznośnie smutno...

Zapalam tedy papierosa i piszę...

**I**DĘ KRAKOWSKIM, gdzie dryndą Sienkiewicz z miną melancholijną, z miną, w której kocha się prawdopodobnie z dziesięć par młodych mężatek ze sfery

high-life'u. Przychodzi mi na myśl, że Sienkiewicz musiał w chwilach swej młodości miewać i dziurawe buty i nie zastawać redaktorów. Uspokojony zawijam na Karową...



Krótkie

# NOTATKI

z ZSRR



Teatr Mały w Moskwie: przedstawienie „Lalki”. Na scenie Łęcki (Leszczyński), Izabella (Nina Andrycz) i Wckulski (Madaliński). O ułudowni, zobacz poniżej

**W**MUZEUUM TEATRALNYM im. Bachruszyna pierwszy raz w życiu oglądaliśmy Jontka... z brodą. Tak bowiem wyglądał w tej roli wielki śpiewak rosyjski Sobinow. Oglądaliśmy zresztą nie tylko zdjęcie, ale i słyszeliśmy głos Sobinowa. Muzeum ma fonotekę, w której spoczywają utrwalone na taśmie głosy największych aktorów i śpiewaków rosyjskich. Słyszeliśmy z taśmy głos Jermolowej, Kaczalowa, Ostuzewa, Szaliapina. Jest to chyba największe i najpiękniejsze muzeum teatralne świata — ma ponad 40.000 eksponatów. A u nas? Byliśmy zawstyżeni, że dotąd jeszcze nie ma w Polsce nawet pierwowzoru polskiego muzeum teatralnego. W dodatku oprowadzający nas przemiły tow. Klinczin skarżył się, że Muzeum im. Bachruszyna bardzo rzadko i nieregularnie otrzymuje zdjęcia i ekspozycje teatralne z Polski. A każda sztuka rosyjska, każda opera czy balet rosyjski wystawiony w Polsce, interesuje ich jak najbardziej.

W Domu Stanisławskiego wzniesła pietyzm, z jakim zachowano tu wszystko tak jak było za jego życia.

Oto kanapka tak dobrze znana ze zdjęć... Tutaj siadywali ze Stanisławskim jego najbliżsi uczniowie, współpracownicy i przyjaciele, kiedy zmęczony chorobą nie wychodził już z domu i próby odbywały się w jego mieszkaniu a nie w teatrze. Proste meble, przybory toaletowe, niewiele zdjęć, obrazków i pamiątek, ulubione rekwizyty meble i kostiumy. W mur wmontowane średniowieczne o drzwi ze „Skąpego rycerza”. To talizman Stanisławskiego, wraz z którym przeprowadzał się z mieszkania do mieszkania.

Wreszcie wznoszący dowód troskliwości i szacunku dla naszego zespołu: na pierwszym piętrze oczekuje nas syn Stanisławskiego, inżynier, który specjalnie tu dziś przyjechał, aby z nami porozmawiać. Opowiada o ojcu, pokazuje nam zdjęcia rodzinne, z amatorskiego teatru domowego rodziny

Aleksiejewów, w którym pierwsze kroki reżyserskie stawił Aleksiejew-Stanisławski. Aktorami byli jego bracia, siostry i znajomi. Miło jest usłyszeć z ust syna wielkiego ojca słowa o sympatii, jaką żywił Stanisławski dla Polski i jej kultury, o uznaniu z jakim mówił zawsze o polskim teatrze. Miło jest nam zobaczyć na fortepianie Stanisławskiego jego ulubionego walca Chopina, którego grano w czasie pierwszego historycznego przedstawienia „Czajki” w MCHACIE.

Teatr Mały w Moskwie ma jedną z najpiękniejszych sal, jakie w życiu widziałem! Mieści ponad tysiąc widzów, a wygląda jak przytulne kameralne wnętrze. Parter na oko niezbyt duży: tylko dziesięć rzędów. Od jedenastego rzędu zaczyna się coś, co nie jest już parterem, a nie jest jeszcze balkonem. Wznosi się toto amfiteatralnie w górę i ani jeden rząd nie mieści się pod łóżami balkonu. Każde miejsce ma doskonałą widoczność i słyszalność. Krzesła nie ma — same fotele, których się nie opuszcza, więc nic nie może skrzypieć. Cisza — idealna. A przed każdym rzędem foteli dość miejsca, by widz mógł swobodnie przejść, nie zmuszając siedzących do wstawania.

Obrotowa scena wspaniała, wyposażona w najnowocześniejsze urządzenia świetlne. Za kulisami — jak w salonie. Aktorzy czekają na wejście na scenę, siedząc w stylowych meblach wśród pięknych obrazów. Nic im nie psuje tu nastroju i nie utrudnia skupienia się. W teatrach radzieckich wszystko obliczone jest dla wygody aktorów i widzów. Ci ostatni mogą np. kupić sobie programy dekadowe, w których znajdują wykaz wszystkich przedstawień i teatrów moskiewskich, ich obsady itp. To samo jest w Kijowie i Leningradzie. A możemy wprowadzić takie programy i u nas? Nie trzeba by wtedy latać pod ślip z afiszami ani studiować codziennie gazety, w których zresztą trafiają się często „jedne informacje”.

Pytanie: Co najbardziej imponuje Polkom w Moskwie? Odpowiedź: Garnki. Jest to oczywiście żart, ale niepozabawiony głębszego sensu. Garnki aluminiowe, lśniące, elektryczne, gotujące podobno w 15 minut cały obiad, imponują naprawdę. A rondle i patelnie, a elektryczne maszyny do kawy, a kom-

bajny do gospodarstwa domowego (obierają ziemniaki, biją pianę itp.), a troterki elektryczne, lodówki i moc innych udogodnień... Członkowie naszej ekipy aktorskiej kupowali w czasie pobytu w Moskwie te rzeczy masami. No i kawior oraz inne smakołyki. Codziennie ciągnęły z hotelu „Moskwa” i „Grand” sznury aktoerek polskich do „Uniwersytetu” na Placu Czerwonym. Wracały — objuczone. A młodzież? Ta oszalała przy stoliskach z adapterami i płytami dźwiękującymi (po polsku: longpleje), przy radiach i aparatach fotograficznych. Amatorzy muzyki skompletowali sobie piękne płyteki. Byli i tacy, którzy zbikowali na punkcie magnetofonów. Są one w Związku Radzieckim znakomite i stosunkowo niedrogie.

Już widzę, jak nasi reakcyjniści mrugają do siebie: no, oczywiście, to wszystko na pokaz z importu i tylko w Moskwie. Nie, proszę panów. To wszystko produkowane jest w ZSRR i sprzedawane we wszystkich miastach, w których byśmy, swobodnie i bez ogonków. Prawda — dawniej bywały tu ogonki, a jeszcze przed paru laty nie było takiej obfitości towarów, względnie ceny były wyższe. To fakt. A dziś jest tak jak piszę. To także fakt.

Tej jesieni Moskwa przeżyła prawdziwą polską „inwazję”. Jednego dnia spotkały się w murach Kremla trzy polskie wycieczki: zespół teatralny, delegacja TPPR oraz wycieczka, która przyjechała na wystawę rolniczą. Wszędzie niespodziane spotkania, coraz to słycać polską mowę.

Ale największa niespodzianka trafia się nam na Wystawie Rolniczej. Zwiedzamy właśnie pawilon Ukrainy. Nagle jedna z krawczyń teatru, Wysocka, która rozmawia ze swą koleżanką, słyszy za swymi plecami słowa: „Tu są nasi znajomi”. Odwraca się i widzi ze zdumieniem towarzysza Bieruta, który wraz z tow. Bermanem, Jędrzychowskim i Ignarem zwiedzał Wystawę Rolniczą, zatrzymawszy się po drodze w Moskwie w swej podróży do Chin. Natychmiast otoczyli ich aktorzy Teatru Polskiego i usłyszeli wiele miłych słów oraz życzenia sukcesów. To jednak okazja nielada! W Warszawie czasem o taką trudniej.

Leningrad. Obrazy Rembrandta w Ermitażu. Jest ich tam 25. „Powrót syna marnotrawnego”, „Danae”, „Portret starego Żyda” — to są arcydzieła, których się nie zapomina. A jeszcze cała sala obrazów Tycjana... A Leonardo da Vinci, Rafael, Andrea del Sarto, Peruggino, El Greco, Velasquez, Holbein, Rubens, Breughel, Watteau, Van Dyck... Mógłbym tak wymieniać długo. I nowe malarstwo francuskie. Jest tam Gauguin, Van Gogh, Marquet, Monet, Nagas, Renoir, Cezanne, Sisley, Pissarro i inni. Są także słynne obrazy Matisa i Picassa. Najlepiej podobały mi się obrazy Pissarro i Marqueta.

W skarbcu Ermitażu zobaczyłem też wykopane z kurhanów stare płaskorzeźby scytyjskie w złocie sprzed paru ty-

sięcy lat. I znowu „oko mi zbielało”. Niektóre z nich żywcem przypominają Picassa... I nie są to artystyczne falsyfikaty, jak owa słynna tiara Saitafernesa, o której „Przekrój” niedawno pisał, lecz najbardziej autentyczne autentyki. Kiedy się ogląda stare arcydzieła sztuki, jaka istniała na terenach dzisiejszego ZSRR, wspaniałe ikony i malarstwa Rublowa w Muzeum rosyjskim w Leningradzie i na Kremlu w Moskwie — zadaje sobie człowiek pytanie: dlaczego współczesna plastyka radziecka nie nawiązuje do tych wspaniałych realistycznych rodzimych tradycji, tylko trzyma się drugiej połowy XIX wieku? Czy to nie jest zawężenie pojęcia tradycji? Chyba ma rację Erenburg, domagając się popularyzacji wielkiej sztuki Rublowa.

Pierwszym człowiekiem, którego spotkałem na dworcu w Kijowie był... mój kolega szkolny ze Lwowa. Ożenił on się z Rosjanką, pozostał i pracuje tam na odpowiedzialnym stanowisku.

— Jak ci się powodzi? — pytam. — Doskonale. Jestem inżynierem, zarabiam dobrze. Mam czteropokojowe mieszkanie, własną „Pobiedę”, radio, magnetofon itp. Na ciekawsze mecze wyjeżdżam do Kijowa własną maszyną. Latem bywałem w Truskawcu, Jaremczu lub Worochcie, a ostatnio spędziłem urlop w samochodzie, zwiedzając Krym i Kaukaz. Uprawiam nadal aktywnie sport i grywam w reprezentacji ping-pongowej i hokejowej Lwowa a czasem i Ukrainy...

Co tu dużo mówić — społeczeństwo radzieckie jest dziś zamożniejsze niż nasze. Stopa życiowa inżyniera radzieckiego jest wyższa niż stopa życiowa inżyniera na analogicznym stanowisku w Polsce; podobnie jest i w przypadku innych zawodów. A wzrost ten postępuje w latach powojennych nieprzerwanie.

Ta rozmowa z przypadkowo spotkanym kolegą, która trwała długo w noc i nie obešla się bez znakomitego ormiańskiego koniaku oraz gruzińskiego wina, powiedziała mi więcej o rosnącym dobrobycie ludzi radzieckich niż dziesiątki artykułów.

ROMAN SZYDŁOWSKI



W Moskwie i Leningradzie oglądać można wiele wczesnych obrazów Picassa. Obok: „Dziwczynka na piłce” (1905)



MIECZYSLAW LIS-GAWALEWICZ



ZACZEŁO SIĘ od jakiegoś pomruku wychodzącego z głębi ziemi — opowiadał pewien oficer tybetańskiego posterunku granicznego. — Narastał straszliwy loskot. Widziałem, że moi żołnierze coś wołają, bo poruszali ustami, ale nic nie było słychać. Wszystko wypełniał grzmot paraliżujący słuch. Czuliśmy się jak ziarna grochu rozsypane na bębnie, w który ktoś uderza pałką. Trzymałem się drzewa, a drgająca ziemia rzucała mię w górę na pół metra. Ludzie, skały, bydło, całe domy — wszystko wylatywało po prostu w powietrze. Z gór runęły lawiny startego na miąż piargu i wszystko otoczył gęsty obłok pyłu.

Było to 15 sierpnia 1950 roku o godz. 2.24 czasu środkowo-europejskiego. Z sejsmografami w obserwatoriach całego świata zaczęły się wtedy dziać dziwne rzeczy. Ich konwulsyjne drgania świadczyły, że gdzieś nastąpiło trzęsienie ziemi o niebywałej mocy. Gdzie? Sejsmologowie różnych krajów rozpoczęli natychmiast gorączkowe obliczenia. Tylko w indyjskich obserwatoriach sejsmicznych nie było co liczyć: pierwszy gwałtowny wstrząs po prostu znokautował precyzyjne aparaty. Wkrótce znane było centrum trzęsienia ziemi: leżało ono pod 20,5 stopniem północnej szerokości i 96,5 stopniem wschodniej długości geograficznej. Punkt ten znajduje się niemal dokładnie na granicy Tybetu i indyjskiej prowincji Assam. Sejsmologowie odczuli ulgę. Kataklizm, jakiemu podobnego nie zanotowały dzieje ostatnich kilkudziesięciu lat, odkąd powstała nowoczesna sejsmologia — wydarzył się na obszarze prawie że nie zaludnionym.

Ów oficer tybetański, którego opowiadanie przytoczyliśmy, przeżył cudem trzęsienie ziemi w obszarze „kompletnego zniszczenia“ (XII, najwyższy stopień skali międzynarodowej). Obszar ten miał promień około 100 km licząc od „epicentrum“ kataklizmu. Ale po ważny wstrząs odczuli także mieszkańcy Kalkuty i Czungkingu — a więc miast położonych w odległości tysiąca kilometrów. Co działo się bliżej, na obszarze kilkudziesięciu tysięcy kilometrów kwadratowych, zamieszkałym przez jakies pół miliona ludzi?

— Mój samochód potoczył się naraz i zatrzymał aż w odległości pół kilometra, bo równy grunt stał się nagle pochyłością — opowiadał pewien angielski plantator herbaty, który przeżył katastrofę w Assamie — 300-metrowy odcinek drogi zapadł się 5 metrów poniżej swego pierwotnego poziomu. Gdzie indziej na miejscu drogi powstał wypełniony wodą kanał. Mnisi buddyjscy z górskiego klasztoru — teraz ruiny klasztoru — stwierdzili ze zdumieniem, że pobliskie źródło zniknęło, a ze skalnej szczeliny obok wytryska gorący, musujący strumień wody mineralnej. W dolinie potworzyły się niezliczone małe kraterki, wypływające wielkie ilości wody i piasku.

Trzęsienie ziemi zrewolucjonizowało zupełnie „równowagę wodną“ tego obszaru i — i to było najgor-

sze. Nie tylko — jak w powyżej opisanych wypadkach — zgniecenie warstw ziemi spowodowało wytryski wody gruntowej z kraterków i otwarcie ujścia dla podziemnych żył. Nie tylko poszczególne strumienie, ba, nieraz rzeki o kilkudziesięciometrowej szerokości zniknęły nagle, przekształcając się w suchy wawóz, albo przeciwnie, zaczęły płynąć w odwrotnym kierunku i rozlewać się w płytkie mokradła. Najstraszniejsze skutki spowodowało zawalenie wielu górskich dolin lawinami ziemnymi, które przegrodziły bieg wielu rzek. Takie rzeki jak Lukit, Dihang, Dibang, Suwansari rozlały się powyżej tych tam w olbrzymie zbiorniki wodne. Przez tygodnie i miesiące naturalne tamy wytrzymywały napór wód. A potem pewnego dnia — pękły... Gigantyczna fala waliła dołami, zmiotając wszystko co stało na drodze: całe wzgórza, lasy, wsie. Wody gęste od zmytej ziemi, niósące niezliczone ilości drzew, ciała ludzi, zwierząt domowych, słoni (których w Assamie żyje jeszcze sporo na wolności) i innych mieszkańców dżungli — spływały do Brahmaputry. Przez trzy lata ta olbrzymia rzeka zaniósła do Zatok Bengalskiej większe ilości mułu, niż przedtem w ciągu stuleci. W porze monsunu rozlewała się szerzej niż kiedykolwiek, zamieniając ogromne obszary u ujścia w zamulone bagna.

Nadeszła i dodatkowa plaga. Dosłownie miliony węży, wystraszonej trzęsieniem ziemi i uciekających przed powodzią, zapełniło pas dżungli pomiędzy górami a doliną Brahmaputry. Nastąpiła prawdziwa inwazja tych i innych niespodzianie „zageszczonych“ mieszkańców dżungli na pola i osiedla ludzkie.

Ile ofiar pociągnęło za sobą trzęsienie ziemi z 15 sierpnia 1950? Któż to może obliczyć! Najciężej zostały dotknięte kataklizmem obszary górskie Assamu i Tybetu, należące zawsze do najtrudniej dostępnych na świecie. Z grubym przybliżeniem szacuje się liczbę ofiar na głównym terenie trzęsienia ziemi na 20—30 tysięcy.

Trzęsienie ziemi w Assamie miało też niespodziewany efekt... polityczny. Wydarzyło się ono mianowicie w momencie, kiedy Chińska Armia Ludowa wkraczała do Tybetu (będącego, jak wiadomo, częścią Chin). Propaganda i agenci amerykańscy starali się wykorzystać ten fakt dla zatracenia stosunków indyjsko-chińskich i zmotywowania prowokacji granicznych. Nieszczęście, które uczyniło na długo niedostępnym i nieprzebytym wielki odcinek tej granicy, spowodowało pewne przychyłenie do sprawy. Po jakimś czasie gdy ostrygła pierwsza, sztucznie podsycona gorączka, rząd indyjski doszedł łatwo do całkowitego porozumienia z Ludowymi Chinami w sprawach Tybetu. Właśnie w toku tych pertraktacji ustalono wspólnie słynne dziś „Pięć zasad“, które stały się podstawą dla pokojowych i dobrosąsiedzkich stosunków pomiędzy krajami Wschodniej Azji, liczącymi razem miliard mieszkańców.

Katastrofa 15 sierpnia 1950 pociągnęłaby znacznie poważniejsze skutki, gdyby wydarzyła się na obszarze gęściej zaludnionym. Bywały podobne kataklizmy... W Europie szczególnie pamiętne pozostała trzęsienia ziemi w Lizbonie w 1755 r. (32.000 ofiar) i w Messynie w 1908 r. (83.000 ofiar). Większość naszego kontynentu leży jednak na obszarze tzw. asejsmicznym, gdzie trzęsienia ziemi są niezmiernie rzadkie i słabe. W Polsce zanotowano w ciągu 900 lat ponad 70 trzęsień ziemi. W tym jednak właściwie tylko jedno, w 1405 roku, było na tyle silne, że spowodowało poważniejszą szkodę: zawalenie się dachu na kościele św. Katarzyny w Krakowie. Natomiast Japonia, Indonezja, duże części Ameryki Południowej i Środkowej i wiele innych okolic globu było nieraz widownią ciężkich katastrof, burzących całe miasta i pochłaniających dziesiątki tysięcy ofiar. Najstraszniejsze skutki miało trzęsienie ziemi w Tokio 1 września 1923, które spowodowało poza innymi szkodami, potworne pożary. Spłó-

nęło wtedy żywcem 180.000 ludzi... Amerykańscy specjaliści z właściwą sobie skłonnością do wojennych porównań, obliczyli że energia takiego trzęsienia ziemi, jak to z 15 sierpnia 1950, odpowiada energii, która wyzwoliłaby się przy eksplozji 3 milionów bomb atomowych średniego kalibru. Niszczycielskie możliwości człowieka pozostają więc ciągle w tyle za naturą. A czy człowiek potrafi się uchronić przed tego rodzaju naturalnymi kataklizmami, czy zawsze spadać one będą jak grom?

Do niedawna wydawało się, że jedyną szansę ochrony dają tylko środki bierne w postaci bardzo silnych konstrukcji budynków na obszarach sejsmicznych (albo przeciwnie: wznoszenia konstrukcji niesłychanie lekkich, jak owe domki z bambusu i papieru w Japonii). Ważną też rzeczą jest odpowiednie przeprowadzenie przewodów elektrycznych i gazowych, aby uniknąć skutków takich jak ów potworny pożar w Tokio, który spowodowały wybuchy przewodów gazowych. Natomiast gdzie i kiedy nastąpi trzęsienie ziemi — nie dało się w najmniejszym stopniu przewidzieć.

Ale ostatnio zaczynają także światać możliwości przewidywania trzęsień ziemi. Istnieje już szereg metod opierających się na badaniu zmian elastyczności i niebezpiecznych napięć w skorupie ziemskiej, które mogą spowodować przesunięcia. Na wychwytywanie zjawisk akustycznych, poprzedzających zwykle wstrząsy itp. Szczególną uwagę poświęca się tym zagadnieniom w ZSRR, którego pewne obszary, przede wszystkim w Azji Środkowej, leżą w „pasie sejsmicz-



Orientacyjna mapka terenów, objętych opisaniem trzęsieniem ziemi. Dla uproszczenia zaznaczono na niej jedynie granice Chin, Indii i Burmy a pominięto skomplikowaną sieć granic małych państw w Himalajach (Nepal i Bhutan) oraz położonego w delcie Gangesu-Brahmaputry Pakistanu Wschodniego

nym“. W 1948 r. niespodziane, potężne trzęsienie ziemi spowodowało ciężkie szkody w Aszchabadzie, stolicy radzieckiej Turkmenii. Obecnie niektórzy uczeni ostrzegają, że w ciągu najbliższych 5—10 lat może nastąpić trzęsienie ziemi w rejonie Stalinabadu — stolicy Tadżykistanu. W związku z tym przeprowadza się w tamtym rejonie odpowiednie prace w dziedzinie zabudowy i konstrukcji domów.

Człowiek nie jest dziś już więc tylko biernym świadkiem trzęsień ziemi. Z czasem udoskonali się na pewno, metody przewidywania wstrząsów, co umożliwi podejmowanie na czas odpowiednich za-

OBOK: Jak domki z kart rozsypanywały się wielkie gmachy w Orleansville w Algierze podczas katastrofalnego wstrząsu 19 września 1954



PONIZEJ: Ta lokomotywa po prostu zapadła się w ziemię w jedną z niezliczonych szczelin, które spowodowało trzęsienie ziemi w Assamie 15 sierpnia 1950



# GRAT JEDZIE

OD KILKU dni czuje, że Kasia i Zizi przygotowują coś niedobrego. Nie rozstają się już od 48 godzin. Mam jednak wrażenie, że tym razem ich współpraca nie ograniczy się do uzupełnienia garderoby.

Siedzieliśmy z Antonim w nadbrzeżnej knajpce. Fotele nie trzeszczały, patefon się zepsuł: było bardzo przyjemnie. Chciałem wziąć się do robienia zapisków, aby położyć kres swym niepokojom. Ale sen powstrzymał mi ręce i myśli.

Poczułem, że ktoś skrobie mnie w głowę. Ponieważ nie było to nieміte, nie otwarłem oczu. Usłyszałem głos Zizi:

— Wylejcie mu karafkę na głowę.

Zmieniła na szczęście zdanie, ale to, co mówiła, nie było wcale przyjemniejsze:

— Popatrzcie, jak on brzydki spi.

Nie otwierając oczu, odparłem: — Siedź cicho, Zizi, pozwól mi się spokojnie obudzić.

Uniosłem palcami powieki i przetarłem oczy. Widok, jaki ujrzałem, był dostatecznie niepokojący, aby je znowu zamknąć.

A jednak wzrok mnie nie mylił! Zobaczyłem Kasię i Zizi pod ręką z białą ubranym olbrzymem, w admirałkiej czapce na głowie. Było to tak niezwykle, iż przedko doszedłem do wniosku, że przeżyłem małą halucynację.

Otwarłem oczy. Straszna trójka stała wciąż przede mną. Ryknąłem:

— Antoni, popatrzno wreszcie! Antoni podskoczył na fotelu, zerwał się na równe nogi jak lunałyk i podał nieznanemu rękę:

— Co słychać?

— Panowie się znacie? — zapytałem.

— Nie — odparł Antoni — myślałem, że to twój znajomy.

Zony wybuchnęły śmiechem. Nieznajomy wydał z siebie odgłos, który przerwał zapewne wszystkie siesty w dzielnicy.

Kasia wyzwoliła rękę spod monstrałnych mięśni nieznanego i popchnęła go w naszą stronę:

— Przedstawiam wam pana Leona.

— Mam nadzieję, że się pan z nami napije — powiedziałem archańskim głosem, pokrywając wściekłość.

— Leon pije tylko wodę — odparła Zizi.

Nie mogłem pojąć, czego chciały od Leona. Oto, co usłyszałem: wydało mi się zdecydowanie mniej straszne:

— Leon był tak dobry, że zaprosił nas na mały spacer swoją żaglówką.

— I — podjęła natychmiast Kasia, z ową naiwną naturalnością, której zazdroszą jej zawsze mniej uzdolnione znajome — zgadza się, żebyście nam towarzyszyli.

— Leon jest wdowcem — uzupełniła Zizi, aby rozproszyć nasze ostatnie wątpliwości, Antoni uznał za niezbędne postawienie nowej kolejkii. Chciał pokazać, że chociaż nie ma do swej dyspozycji żaglówki, to przynajmniej umie zachować się w wielkim świecie.

Dwa małżeństwa serdecznych przyjaciół wybrały się na wspólne wakacje starym zreperowanym autem. Po podróży, obfitującej w wiele kłopotów i niespodzianek, znaleźli się w Cannes, gdzie się doskonale bawią.

Leon był zresztą zupełnie sympatycznym chłopcem. Zapewnił nas, że sprawimy mu naprawdę wielką przyjemność i przysługę, zgadzając się na wzięcie udziału w przejażdżce. Antoni, niezadowolony, że nasze żony lekceważą już sobie jego samochód, chciał protestować, ale poznał po minie Zizi, że nie byłoby to ani wskazane, ani nawet bezpieczne.

Kasia stała się nagle pokorna: — Pojedziemy, prawda? Zaraz? Potwierdziłem, Kasia pocałowała mnie, Leon odczekawszy znacząco chwilę, oświadczył:

— Może dzisiaj, może jutro, może nigdy.

— Kiedy będziemy wiedzieli? Na ustach Leona pojawił się uśmiech, godny badacza okolic polarnych, zasypanego gradem głupich pytań w salonie.

— To zależy od pogody — wyjaśnił.

— Czy możemy być w tym w jakiś sposób pomocni? — spytała Zizi.

— Tak. Możemy czekać.

Na twarzach pań malował się gorzki zawód. Leon podszepił jej jednym zdaniem:

— Możecie przecież spędzić noc na statku.

Kasia i Zizi zdziwiły się, że jeszcze nie uregulowaliśmy rachunku.

Skoro wchodzi się na żaglówkę, pierwsze wrażenie jest korzystne. Trwa to jednak krótko.

Gospodarz, przyzwyczajony już do morskich wspaniałości, ukrył się w głębi statku. Przyszedł mi do głowy położyć się na pokładzie i podziwiać księżyc.

Pierwsze chwile były rozkoszne, spozstrzegłem jednak, że nawet w najcieplejszą noc pokład jest oślizgły jak meduza. Ponieważ wole być suchy, niż mokry, udałem się do kabiny czyli pod pokład.

Pod pokładem było „letnio”. Mówię „letnio” z grzeczności dla naszego gospodarza. Do drugiej w nocy było tak gorąco, że pałac kolejowy, zmuszony tam do pracy, rozpoczęły strajk, po drugiej zaś równie zimno, co w statku-lodowni u wybrzeży Grenlandii.

Nie należy też zapominać, że port w Cannes jest w sierpniu pełny jak metro o czwartej. Łódki stoją obok siebie jak sardynki w puszcze. Skutkiem owego tłoku jest niesamowita, godna Gershwna (gdyby oszalał) symfonia, jaką tworzą dźwięki ocierających się o siebie statków (dodam, że morze było idealnie spokojne). Zdolność przystosowywania się do warunków zewnętrznych, jaką obdarzona jest natura ludzka, jest jednak tak ogromna, że około czwartej gotów byłem zasnąć w hałasie, wobec którego zebrania kotów w marcu robią wrażenie modlitw wieczornych w klasztorze dla głuchoniemych.

Nie zasnąłem jednak: właśnie o tej porze wypływają na połów rybacy i port trzęsie się od hałasu silników, jakby kilkaset odrzutowych myśliwców ostrzeliwało go z karabinów maszynowych.

Prawdziwe kłopoty zaczęły się jednak dopiero nad rankiem. Leon obudził nas, zebrał na pokładzie i oświadczył:

— Radio zapowiada wiatr. Wypływamy.

Trochę mnie to zaniepokoiło. Obawy moje rozproszył jednak widok Leona, który zjawił się w nowej czapce.

— Kupiłem ją w Amsterdamie — oświadczył.

Z intuicją, która mi oddawała tak wielkie usługi w okresie służby wojskowej, zrozumiałem, że Leon będzie wydawał rozkazy i ułotniłem się z pokładu.

Antoni, posiadający wolniejszą orientację, patrzył, jak zahipnotyzowany, w czapkę Leona:

— Chciałbym mieć taką czapkę jak pan — powiedział.

Leon udał, że nie słyszy tej dziwnej uwagi.

— Fok staw! — zawołał.

Antoni patrzył nań z takim podziwem, że aż ssął wielki palec, co zdarza mu się tylko na defaldzie 14 lipca.

— Mówię do pana — rzekł Leon.

— Myślałem, że przeszliśmy na ty — zauważył Antoni, ale instynktownie stanął na baczność. Na tym kończyły się jego wiadomości żeglarskie. Wiedział, że fok to żagiel, ale który to, jak go poznać?

— Nie może mi pan powiedzieć, gdzie on jest, ten fok? — spytał przyzmiłnym głosem.

Leon wybuchnął z niezrozumiałego powodu śmiechem:

— Też dowcipy! — wykrztusił.

W zachowaniu się Leona było coś niezrozumiałego. Antoni pomyślał, że to zabawa i chciał okazać się na wysokości towarzysztwa. Chwylił więc pierwszą z brzegu linkę.

Trafilo się, że to akurat była linka właściwa.

Żagiel zaczął trzepotać na wietrze. Leon pokłiwał z uznaniem głową, zaś Antoni, nie chcąc kusić losu, spytał:



— Nie posłuży się pan do wyjścia z portu motorkiem?

Leon oburzył się i zawołał:

— Grot staw!

Antoni uznał, że cuda zdarzają się tylko raz i powiedział:

— Zaznaczam, że służbę wojskową odbyłem w artylerii.

Leon zbliżył się doń i uściśnął mu rękę:

— Ja także — rzekł.

Był to moment pełen pięknego ludzkiego braterstwa. Jednak wyznania obu marynarzy nie posuwały żaglówki ani o cal.

Antoni nie chciał rozczarować swego dawnego towarzysza broni.

— Nie mogę się zupełnie w tych sznurkach połapać — usprawiedliwił się skromnie.

Odkrzyknąłem spod pokładu:

— To się nie nazywa sznurki, tylko fały!

Tu się kończyła moja erudycja. — Jak się mamy ustawić do fały? — spytał zupełnie dezorientowany Antoni.

Kapitan wzruszył ramionami: Antoni pociągnął z determinacją za linkę zamknawszy oczy.

Wyjrzałem przez luk i zobaczyłem, jak widzowie kiwali z uznaniem głowami. Wywnioskowałem stąd, że Antoni pociągnął za właściwy „sznurek”. Zapytano mnie z mola:

— Płyniecie na Korsykę?

— Naturalnie — odparłem.

Wróciłem na pokład. Antoni, stojąc przy sterze, mrugnął do mnie, dając do zrozumienia, że żeglarstwo jest sztuką stanowczo przereklamowaną. Jacht lawirował w porcie z szybkością latającego talerza. Kilkakrotnie otarł się prawie o zakotwiczone stateczki.

— To się nazywa precyzyjna nawigacja — oświadczył Antoni i zaczął śpiewać neapolitański romans...

Wypłynęliśmy z portu. Dostrzegłem, że Zizi i Kasia są dziwnie zgaszone. Poczułem, że dzieje się coś złego i jakby na poparcie moich myśli żaglówka zaczęła skakać po fali jak młode koźle. Antoni przycichł. Leon zawołał:

— Kładź się, człowieku!

Antoni puścił ster i runął odważnie na ziemię. Bom głównego żagla przelatował bez widocznego powodu z jednej strony na drugą

— Co się stało? — spytał z zimną krwią Antoni.

— Nic — odparł lodowato kapitan — gdyby pan się nie położył, bom odciąłby panu głowę.

Antoni natychmiast znalazł replikę:

— W tych warunkach — rzekł — byłoby wskazane, gdyby pan sam stanął przy sterze.

— Ja? — warknął Leon — przecież ja się na tym nie znam.

Spojrzałem na panie: po ich pełnym skruchy spojrzeniu zrozumiałem, co się stało.

Spotkały Leona na plaży. Powiedział im:

— Chętnie bym was wziął na spacer moją nową żaglówką, ale nie nauczyłem się jeszcze żeglować.

— Nic nie szkodzi — odparły — nasi mężowie zdobyli kilkakrotnie nagrody na regatach.

Oto dlaczego znaleźliśmy się na pełnym morzu w towarzystwie Leona, po którego twarzy łatwo poznać, że żaluje, iż nas poznał.

— Gdzie są pasy ratunkowe? — zatroszczył się Antoni.

— Nigdzie — odparł Leon.

Objąłem dowództwo nad jachtem. Nic się na tym nie znam, ale mój stryj, który popłynął raz na Madagaskar, mawiał często:

— Morze robi silne wrażenie grubo przedtem, nim staje się niebezpieczne.

To mnie już pokrępiło. Przypomniałem sobie, że niekiedy dodawał:

— Kiedy kapitan jest idiotą, statek myśli za niego.

Jak widać, objąłem komendę w stanie pełnej skromności.

Powiedziałem naprzód Leonowi:

— Pańskie miejsce nie jest na pokładzie.

— Alez...

— Niech pan lepiej zejdzie do kabiny.

Później zawołałem kucharza:

— Czy jest na statku rum?

— Tylko whisky...

— Trudno — odparłem. — Niech będzie. — Zauważyłem, że panie schodzą w czeluście statku i krzyknąłem:

— Stop! — wprawiając jednocześnie w akcję syrenę, aby wywołać nastroj katastrofy.

— Jesteśmy całkiem zmoczone — odparła Kasia.

— Będziecie mi potrzebne.

Zizi poleciłem otworzyć butelkę.

— Alez nie mam korkociągu — zawołała ze łzami w oczach.

— Milczcie!

Kasi poleciłem zapalić mi papierosa.

— Alez jest wiatr!

— Rób co każe.

Rozkazy zostały wykonane.

Zizi, donieważ prowadzi na lądzie auto, poleciłem zająć się motorkiem. Był zepsuty.

— Naprawić! — rozkazałem. Nie miała już odwagi się sprzeciwić. Po pół godzinie silnik ru-

szyl. Zizi miała smaru po dziurki w nosie.

Kasi polecieć możliwie ostrożnie chwycić za wszystkie linki po kolei. Liczyłem, że w ten sposób uda jej się zwinąć żagle — tak też się stało. Skorzystałem z uległości obu pań i poleciłem im wyszorować pokład oraz przyszyć mi wszystkie brakujące guziki.

Wtedy chwyciłem ster i delikatnie skierowałem jacht w stronę wyspy świętej Małgorzaty. Kazalem wówczas zarzucić kotwicę.

Leon, który tymczasem zdobył się na odwagę i wyjrzał z kabiny, patrzył na mnie z wdzięcznością. Skoro tylko statek stoi nieruchomo, pasażerowie zapominają o zasługach kapitana. Pozostawiono mnie na uboczu, a Zizi, chcąc naprawić złe wrażenie, zaczęła flirtować z Leonem. Jeden Antoni patrzył na mnie z szacunkiem.

Leon, chcąc nie chcąc, zaproponował nam zjedzenie śniadania. Włożył znów swą czapkę i opowiadał o burzach, jakie przeżył na Pacyfiku, płynąc pięciometrową jolką swej własnej konstrukcji. Panie słuchały go z podziwem.

Przy deserze zerwał się wiatr. Ponieważ nikt nie umiał dla wezwania pomocy uruchomić radia, zaczęliśmy machać chusteczkami. Skończyło się tak: motorówka portowa podholowała nas do przystani na wyspie. Kasia, skądinąd żądna wiedzy, nie miała odwagi zaproponować nam zwiedzenia kolejnego zamku. Antoni sam jeden oparł się chorobie morskiej, co nie tylko było niesprawiedliwe, ale jeszcze wzbudziło w nim kompleks wyższości.

Dodam jeszcze — ale czy to potrzebne? — że nigdy więcej nie zobaczyliśmy Leona.

Koniec

YVAN AUDOUARD

**KROWIA MEGAFONOWA**  
ORBISU: Zawiadamiamy, że w reżyserskich i orkiestrowych przedstawieniach hotelu Orbis w Warszawie wystąpią gwiazdy warszawskiego teatru satyrycznego. A w kawiarni hotelu Orbis w Warszawie w każdą sobotę i niedzielę o godz. 22, publiczność bawi się świetnie na występach kabaretu „Sapa”!

**ORBIS**

Uwaga Czytelnicy! Na wszystkie pytania skierowane do MEGAFONOWA ORBISU, Warszawa, Bracka 16 — otrzymacie odpowiedź przez megafon w „Przekroju” bądź listownie

## NARCIARZU!

SPRAWDZ przed wyjazdem na narty:

**BUTY** — Czy nie ma w nich drobnych uszkodzeń, o których już zapomniałeś od poprzedniej zimy? Osłabione szwy lub sznurowadła mogą peknąć na wylocie. Małe niedopatrzenia, a sporo kłopotu.

Należy koniecznie zaimpregnować skórę. Jest

wiele sposobów. Podajemy jeden: smarować wierzchy mieszaniną parafiny i wazeliny (po 1/2) z terpentyną (1/2), a podszewy olejem lnianym, ale najwyżej dwa razy przed sezonem zimowym. Skóra w butach zbyt często smarowanych tłuszczem będzie miała rozszerzone pory i łatwo nasiąknie wodą.

### SPODNIE I SWETER

— Czy nie dobrały się do nich moje? Cerowane w ostatniej chwili przed wyjazdem może się kosztować spóźnienie na pociąg. Przypominamy najłabsze punkty każdego skafandra: blyskawiczny zamek, guziki, szwy pod pachami. Łatwo też odpruwają się gumowe taśmy spodni, zakładane pod stopy.

### NARTY

— (które oczywiście po tamtej zimie odczyściłeś ze starego smaru i związałeś paskami i zakładając między deski kiocek) mają często uszkodzenia w wiązaniach np. obluźnione śruby. Trzeba też sprawdzić w jakim stanie są kanty, a byś ich później nie gubił po kawałku. Narty, szczególnie nowe, nale-

## TLUMACZYMY NA JĘZYK POLSKI

### Oryginal

„Do pokoju wszedł listonosz. Maria Matuzewska” — („Życie Warszawy”, 19. XI).

„Krzywicka Irena, literat” — (lista kandydatów do St. R.N.).

Uwaga: zmuszeni byliśmy stworzyć wątpliwą „roznościelkę” na miejsce praktycznej „doręczycielki” z plakatów pocztowych. Tak czy inaczej nie chcielibyśmy, żeby Maria Matuzewska wchodził.

### Tłumaczenie.

„Do pokoju weszła roznościelka, Maria Matuzewska”.

„Irena Krzywicka, literatka”.

Nasz felieton  
JAN SZEŁĄG

7 sekund

7 sekund dlatego, że chodzi o najkrótszy felieton i dlatego że będzie mowa o straży ogniowej, która powinna działać bardzo szybko.

Pewnego dnia Napoleon przybył do małego miasteczka francuskiego.

— Dlaczego nie strzelisz z armat na moje przybycie? — zapytał mera.

Ten odpowiedział:

— Sire, stało się to dla pięciu powodów. Po pierwsze w naszym mieście nie ma armat...

— To wystarczy — przerwał merowi Napoleon.

Wojewódzka Komenda Straży Pożarnych w Warszawie w bardzo rozwlekły sposób tłumaczy w piśmie do redakcji „Szpilek”, dlaczego to straż ochotnicza w Sobociach Jeziorach pewnego dnia nie wyjechała do pożaru w okolicy. Pisze ona „po pierwsze”, „po drugie” i dopiero na drugiej stronie „po trzecie”: „Kierowca był w stanie, w którym nie wolno mu było prowa-

dzić samochód strażacki”. Po prostu mówiąc szofer był pijany. I to wystarczy.

Nie rozumiem tylko zakończenia listu, które brzmi: „Uważamy, że oburzenie ludności było nie uzasadnione względem straży, która należy do produjących na terenie powiatu garwołińskiego”.

Rozumiem, że Napoleon wybaczył merowi małego miasteczka, że nie miało ono armat, ale to nie powód, by tego mera zaraz ogłaszał produkującym artylerzystą Francji.

### W ZWIĄZKU Z NADCHODZĄCYMI ŚWIĘTAMI

nie namawiamy dorosłych do wyrzucenia się alkoholem. Alkohol też jest dla ludzi! I właśnie w tym sedno, żeby alkohol był dla ludzi, a nie dla bydłaków. Złych skutków nie powoduje pierwszy kielszek, tylko ten sławny niewiasty „o jeden kielszek za dużo”.

Rzucamy więc hasło: **PIJMY O JEDEN KIELSZEK ZA MAŁO!** Poniższą ramkę wytnijcie i przypnijcie sobie pod kłapa. Kobiety przyklepiają pod puderniczką.

DZIĘKUJĘ, MAM DOSYĆ!

Jeśli źli, niezbytliwi gospodarze będą Was namawiać na dalsze kielszki — odchylcie kłapę lub pokażcie puderniczkę.

### Korespondencja

„Legniczanin”: Mam już długi słowy warkocz, drogi Panie, z powodu tych ksiązek. Na powiększenie nakładów autorzy nie mają wpływu, a Centralny Zarząd Księgarstwa uważa, że tomików satyrycznych ludzie nie chcą kupować i raczej nakłady zmniejsza. Wydał natomiast w 10.000 egzemplarzy „Nowe prawo małżeńskie w Chinach”. Za zaproszenie dziękuję, na pewno kiedyś wyładuję w Legnicy.

Jerzy G., Warszawa: Świetny pomysł! I widzi Pan — już wykorzystam Dziękuję!

E. Karpiński, Warszawa: Wcale się nie obraziłam, bo „Zona” jest świadomą kontynuacją „Pigulek”, a Minikiewiczem szczerzy się jako naszym pradiadkiem.

W. Skarбек - Zadawaka, Gdańsk: Prysłane rękopisy będą czytały w łózku podczas świąt. To zapewnią obiektywne i zyciawe porcje.

PISZ DO „ZONY”, PISZ DO „ZONY”, PLAN JEJ BĘDZIE PRZEKROCONY!

ADRES REDAKCJI: „ZONA Przekroju” Kraków I, skrytka pocztowa 533, tel. 559-54 Nie zamawiajtek rękopisów redakcja nie zwraca



Wielki konkurs PZU i tygodnika „Przekrój” z nagrodami, p. 1:

# PIĘĆ KRATEK PUSTYCH

kupon

**WARUNKI KONKURSU:** Przeczytajcie uważnie niniejszy drukowany tekst, przedstawiający trzy scenki z życia, związane z zagadnieniem ubezpieczeń. Obok widnieją starogalicyjskie rysunki, ilustrujące poszczególne momenty z życia. Ilustracje są bezładnie rozrzucone. Zadanie konkursowe polega na wyjęciu tych ilustracji i wklejeniu ich na kuponie W PRAWDLIWEJ KOLEJNOŚCI — według tego, gdzie występują w tekście słowa, do których mogą odnosić się odpowiednie rysunki. Przy czym uważaj, przy układaniu NIE MOGĄ SIĘ SPOTKAC DWA RYSUNKI TEGO SAMEGO KOLORU. Druga uwaga: PRZECIU RYSUNKÓW BRAĆ. Nie jeśli polaryzacja rysunków i kratki na kuponie, to zaraz okaza się, że kratki jest o 5 więcej niż rysunków. Tak, jak gdyby

z szeregu projektowanych ilustracji rysownik zorientował pięć rysunków wykonawcą. W rezultacie, przy prawidłowym ułożeniu, wszystkie rysunki powinny się znaleźć na kuponie, przy czym nie zostanie pozostały z kratkami, których nie ma w tekście. Wykonawca, który otrzymał poprawny kupon, musi być zawsze albo rysunek innego koloru albo kratka pustą. A teraz historia wydarzeń i do dzieła! Kupon z nalepionymi rysunkami należy wyjąć i przynieść, w kopercie z datką nadawaną „KOMUNIKAT” do dnia 3 stycznia 1981 r. (środa) na adres: „Przekrój”, Kraków 1, ul. Św. Anny 14, skrytka pocztowa 308. Na kuponie należy wpisać swoje imię, nazwisko i adres. Komunikat przesyłać, który w terminie nadeślą kupon z prawidłowym rozkładaniem, zostanie nabawione obok wyszczególnione nagrody Państwowego Zakładu Ubezpieczeń.



— ATYNIU, co to jest ubezpieczenie? — pytała pani Ewelina Janiec, postępując ostrożnie, jakby nie była pewna, czy nie jest to jakiś rodzaj gry. — Jedną z form ochrony majątku, — odpowiedział jej mąż. — Ale, Ewelino, ja się pytam, co to jest ubezpieczenie? — dopytywała ją dalej. — Wiesz, Ewelino, — zaczął jej tłumaczyć pan Ewelina. — To jest taki rodzaj ochrony majątku, który polega na tym, że jeśli coś się stanie, to ubezpieczyciel wypłaca ci pieniądze. — To jest ubezpieczenie? — dopytywała ją dalej. — Tak, — odpowiedział jej mąż. — To jest ubezpieczenie. — To jest ubezpieczenie? — dopytywała ją dalej. — Tak, — odpowiedział jej mąż. — To jest ubezpieczenie. — To jest ubezpieczenie? — dopytywała ją dalej. — Tak, — odpowiedział jej mąż. — To jest ubezpieczenie.

- NAGRODY:**
- 1 nagroda I — MOTYCYKL
  - 1 nagroda II — RĄDZIO
  - 1 nagroda III — BIODNIK
  - 5 nagród IV — RÓWNY
  - 5 nagród V — TEKSTY SKO-
  - 5 nagród VI — elegancje port-
  - 6 nagród VII — wycinanie pióra
  - 7 nagród VIII — ołówki techn-
  - 8 nagród IX — biblioteczki
  - 9 nagród X — ciekawe książki
- RAZEM: 100 nagród!**

— Mamusia, a czy na wakacjach będziemy jeździć przetransportem? — pytała pani Alicja. — Oczywiście, — odpowiedział jej ojciec. — W wakacje będziemy jeździć przetransportem. — Mamusia, a czy na wakacjach będziemy jeździć przetransportem? — pytała pani Alicja. — Oczywiście, — odpowiedział jej ojciec. — W wakacje będziemy jeździć przetransportem. — Mamusia, a czy na wakacjach będziemy jeździć przetransportem? — pytała pani Alicja. — Oczywiście, — odpowiedział jej ojciec. — W wakacje będziemy jeździć przetransportem.

— Mamusia, a czy na wakacjach będziemy jeździć przetransportem? — pytała pani Alicja. — Oczywiście, — odpowiedział jej ojciec. — W wakacje będziemy jeździć przetransportem. — Mamusia, a czy na wakacjach będziemy jeździć przetransportem? — pytała pani Alicja. — Oczywiście, — odpowiedział jej ojciec. — W wakacje będziemy jeździć przetransportem.

## KAROLINA BEYLIN O TEATRZE, KINIE, „MAZOWSZU” I PIOSENCE

**NA CO WARTO pójść w Paryżu do teatru, a na co do kina?** Na to pytanie, zadane Paryżanowi, niemal wszyscy odpowiedzieli zgodnie. — Do teatru! Najlepiej do Marigny na „Wismowy sąd” Cechowa. Do kina? Na Chaplina: wznowiono teraz w dwu kinach na Champs Elysees i na Winkich Bulwarach jego „Dziesięć tysięcy lat”. — Jak to? Nie ma nic nowego? — Nowszego! Owszem jest. Komedia Franciszka Gra „Wspaniałych kochanków” (Les amants magnifiques) Moliera. Tego komediobalietu nie grano w Paryżu ani niedawno od 100 lat. Tak wyglądał „nowość” paryska. Nie straszno to brylantem, w teatrze, teatrykach, w szkołach kin paryskich nie grano i nie wyświetlano tysięcy super nowych, sensacyjnych, niewidzianych, oczekiwanych spektakli i nie występowało tylas filmów, objazdowych takich samymi przedstawieniami, ale Paryżanie biegali tłumnie na „Wismowy sąd” Cechowa z Jean-Louis Barrault w roli Trófilosa i Madeleine Renaud w roli dziurczki, oraz szczerze wycierając łzy w pobliżu do 12-tej o północy sale kinowa, w których na ekranie mamy smutny człowieczek wdczy z nowoczesnymi nasyzanymi. Konkurencją z nim owa „nieznana”, „święta odkryta” komedia, wyprzedzana na scenę Domu Meiera przez ucznia Juweda, teatrologa, scenę teatralną objadłaby jeszcze senolnie pochodnie — jest autywnym tyko tw. „Divertissement” (rytmiczny zabawa korduska, a obcnie podobna wspaniałych debata) i kostiumów, zaczerpniętych z historii, skomplikowanej machinerii, puszystych piropopow, skóra i szczyt, burzących światła reflektorów, latów i kłopotów, oraz muzyki współczesnego Medycowi Lullakou.

Cudę ksytyki szarżowała Mayerowa, że zmieniła scenę Komedi Francuskiej niemał w music-hall. Spełniła jednak uwezbali, że z podobnymi efektami grywana „Kolombus” z życia autora. Nie wiadomo zresztą, czy nie z powodzeniem „podołał” do mądrali dżins koleki wyszczybiał godzinami przed krę Komodii, wykupując bilety na wiele dni naprzód. Tak wygląda najwięcej powożenie teatralne sceny późnej. Jest i początek zimy w Paryżu. A największa klama? Tu palnie pięćdziesiątka dyrektor autor, który przez chęć łąta był co roku dostawcą kolejnego „prezjeto” bulwarowego, okwiednio pływkiego i banalnego, ale cieżkiego się wielkim rozgłosu. Jechodze Deval. Jest on autorem gromywnych i na naszych scenach przedobnych sztuk, jak „Made-moiselle”, „Stefek” i inne. Jego legościana sztuka pt. „Nasrnamu”, oparta na pomyśle z powiatu Mas-



Wszystkie rekordy, jest oczywiście Gerard Philipe. Na najnowszym film „Czerwony i czarny”, wcielił powieści Stendhala, w którym gra rolę Juliana Sorrela obok Danielle Darrieux, która doświadczyła do trzech km paryskich tłumy. Z starych ulubieńców filmowych mocno postarzały i otyle Jean Gabin gra w dwu gangsterko-epizodowych filmach, które zapożyczają historie sensacji zapędzających kina publiczne. Kówniej mocno już miewolny Maurice Chevalier da raz pierwszy od wojny dal cztery wieczory swojej piosenki, napełniając rolę teatralną do ostatniego miesiąca. Występy Chevaliera wypadły jendocześnie z występami oszpeconego film „Czerwony i czarny”, w którym gra rolę Juliana Sorrela obok Danielle Darrieux, która doświadczyła do trzech km paryskich tłumy. Z starych ulubieńców filmowych mocno postarzały i otyle Jean Gabin gra w dwu gangsterko-epizodowych filmach, które zapożyczają historie sensacji zapędzających kina publiczne. Kówniej mocno już miewolny Maurice Chevalier da raz pierwszy od wojny dal cztery wieczory swojej piosenki, napełniając rolę teatralną do ostatniego miesiąca. Występy Chevaliera wypadły jendocześnie z występami oszpeconego film „Czerwony i czarny”, w którym gra rolę Juliana Sorrela obok Danielle Darrieux, która doświadczyła do trzech km paryskich tłumy.

NAZWISKO I IMIĘ: \_\_\_\_\_ ADRES: \_\_\_\_\_

słynnego angielskiego baletu „Sadler's Wells” z Londynu, anonse Baletu Markiza de Cuevas, występującego w Teatrze Sarah Bernard, zapowiedź baletu brazylijskiego i wiele innych.

Balet markiza de Cuevas otoczony był specjalnie snobistyczną atmosferą i zachwalany w sferach zwanych „wyższymi”. Owym markiz de Cuevas, który pokazał na zamerykanizowany sposób utworu wielkich muzyków, zwulgaryzowane w banalnym balecie („Concerto” balet według Chopina, taniec według „Dziadka do orzechów” Czajkowskiego, „Duo” taniec naokół ławki ogrodowej z muzyką Skriabina!), reklamował się i w inny sposób. Opowiadano o nim, że co dzień w południe leżąc na tapczanie w pięknym szlafroku, przyjmuje swych przyjaciół tancerzy, aktorów i... arystokratów, że na srebrnym półmisku przynoszą mu cztery kotlety, z których pierwszy daje swemu pekińczykowi, a drugi swej... sekretarce. Wszystkie te koszarne brednie służą reklamie widowiska, które jest raczej żalosne i tandetne.

Największym powodzeniem cieszyła się opera murzyńska, „Porgy i Bess”, przede wszystkim ze względu na świetną muzykę Gershwna. Trupa murzyńska odwarzała tę, napisaną ogromnie pod wpływem „Opery za trzy grosze” Brecht, historię miłości dziewczyny ulicznej Bess i żebraka Porgy, pokazaną na tle podwórka niedźwiedzi w dzielnicy lumpenproletariatu w Charlestonie.

Piosenki „Mazowsza” prędko wyszły na paryską ulicę.

Na schodach stacji metra „Montparnasse”, idąc długim moście na pół kilometra podziemnym korytarzem, młoda dziewczyna, ubrana jak tysiąc studentek i urzędników paryskich w długie obcisłe spodnie i luźny sweterek, nuciła półgłosem... „Kukułęczkę”. Tę samą melodię gwizdał wesoło młody chłopiec na przystanku autobusowym na rue du Bac. Na ławce na Champs Elysées pod kasztanem młoda matka nuciła zasypiającej w wózku córce melodię łowickiego walczyka...

Piosenki „Mazowsza”, usłyszane w sali Teatru Chaillot, powtarzane przez płyty, których tysiące rozszło się z kiosku i z polskiej księgarni stały się nagłe częścią piosenki Paryża.

Piosenka paryska! Jak niegdyś Maurice Chevalier, tak teraz pełen młodości i uroku Yves Montand niesie w swej piosence echo całego życia miasta...

Jest w tych piosenkach wszystko.

I drewniane konie karuzeli, obracające się na zadrzewionych placzkach przedmiejskich dzielnic Paryża.

I dziewczyna, całująca się długo ze swym chłopcem na tarasie wśród chodnika ulicy paryskiej.

I spracowane ręce robotnika, szybko wychylającego kieliszek wina lub „calvadosu” przy metalowym kontuarze „bistro”.

I bielizna susząca się wysoko na sznurach, rozciągniętych w poprzek wąskiej, starej ulicy robotniczej dzielnicy.

I włóczęga paryski nieśmiertelny „clochard”, co przysiadłszy na stopniach sklepu, łapczywie zajada z papierka okruchy chleba.

I policjant w pelerynce zatrzymujący dwa szeregi samochodów dla małego chłopca z tornistrem na plecach, beztropko przebiegającego jeźdźnię.

I policjant, trzęsący brutalnie za ramię śpiących nocą na ławce tych, których domem jest tylko ulica, a dachem wygwieżdżone lub dżdżyste niebo nad Paryżem...

KAROLINA BEYLIN

ADAM HOLLANEK

# PIERWSZA NARKOZA



Nawet drobne zabiegi chirurgiczne były przed wprowadzeniem narkozy prawdziwą męką dla pacjenta

**P**ROFESOR BIERKOWSKI należał do inicjatorów rewolucji krakowskiej roku 1846. Gdy powstanie przepadło, powrócił do swego klinicznego laboratorium. Sławny był już przedtem. W kołach lekarskich mówiono:

— Czy wiecie kolego, że na klinice profesora Bierkowskiego rany nie ropieją?

— Nadzwyczajnie! (W owych czasach wszystkie niemal rany ropiały).

Było to na wiele lat przed odkryciem Listera, twórcy nowoczesnej antyseptyki. Profesor Bierkowski nie był odkrywca-teoretykiem. Wiedział jednak z długoletniej praktyki, że rany operacyjne nie cuchną, gdy oczyści się je dwu i pół procentowym roztworem podchlorynu wapnia. Naszemu profesorowi zdawało się, że zwalcza tylko sam zapach, że zwalcza objaw. Nie wiedział, iż trafił na właściwy ślad środka antyseptycznego, likwidującego groźne armie bakterii.

Bierkowski nie wdawał się również w rozważania, dlaczego eter usuwa ból podczas zabiegów. Usłysawszy o nowoczesnych doświadczeniach zagranicznych — amerykańskich i rosyjskich, próbuje u nas zaadaptować metodę Mortona.

Wielki przewrót dokonał się w pałacyku ukrytym za klombami niewielkiego ogrodu przy ulicy Kopernika w Krakowie. W tym pałacyku mieściła się klinika Bierkowskiego.

Mam przed sobą numer „Gazety Krakowskiej” z dnia 9 lutego 1847 roku. Mała, biedna stroniczka. Przypomina bardziej ulotkę niż dziennik. Zaraz na pierwszej stronie:

„Pośpieszamy donieść publiczności naszej wiadomości bardzo zajmującą i ważną. O użyciu pary eteru siarkowego do oddychania, celem chwiloowego uspienia chorych mających być operowanymi i operacjach skuteczniejszych podczas odurzenia tym sposobem sprawionego...”

Nasz profesor Bierkowski przedstawił w dniu 6 b. m. i r. w godzinach południowych w swej klinice chirurgicznej, w obecności doktora Czerniakowskiego prof. i sekretarza Wydziału Lekarskiego, doktora Jaszczurowskiego Kliniki Chirurgicznej i doktora Zieleniewskiego Kliniki Lekarskiej adjunktów oraz w przytomności kilku nastu uczniów po raz pierwszy doświadczenia z użycia pary eteru siarkowego *wzwyż pomienionym celu.*

Najpierw dwóch uczniów ofiarowało się próbę nowego rodzaju uspienia. Oto następujące tego wypadki:

1. A. D. kandydat medycyny oddychał parą wspomnianego eteru przez jedną minutę i 47 sekund, poczem nastąpił zaraz stan blagiego odurzenia, powieki dobrowolnie sklejały się poczęły, a czucie do tego stopnia pomniejszone się okazało, iż kilkakrotnie głęboko szpilką nakłuty ani śladu bólu nie objawił.

2. J. S. kandydat chirurgii oddychał przez 2 minuty i 30 sekund, w tym momencie nastąpiło odurzenie, a z niem bardzo przyjemnym sen, w którym zakłuty szpilką przy korzeniu ręki prawej, przez ujętą fałdę powlok powszechnych w przestrzni jednego ciała, najmniejszego śladu bólu nie objawił. Odczuwając się w 3 minuty i 3 sekundy nadzwyczajnie się zadziwiał jakim sposobem tak głębokie zakłucie żadnego bólu mu nie sprawiło.

Po tych korzyści obiecujących doświadczeniach przystąpił profesor Bierkowski do prób z chorymi, którym operacje właśnie wykonać się miały. I tu najpomyślniejsze otrzymał wypadki.

Wyobrażacie sobie to poruszenie na klinice Bierkowskiego? Te miny pełne niedowierzania, potem zdziwienie, kiedy próby się udały, a delikwenci cali i niezatruci przy-

pien na prawym kolanie. Okropnie bała się operacji.

— Będzie boleć? — pytała pielęgniarka, który ją wiozł do sali operacyjnej.

— Ano musi.

— Nie straszcie mi dziewczyny. Jać nie na operację was wezwalem — przerwał tę rozmowę profesor. Chora odetchnęła. Pielęgniarkę, ostrzeżony mrugnięciem, zamilkł.

— Dam wam skosztować tego lekarstwa. Odetchnijcie no trochę powietrzem z tego pęcherza.

Głos był surowy i rozkazujący. Węgielkowa posłusznie wzięła do ust cybuch.

— No, no! Oddychać głęboko — rzucił profesor. Upłynęły 24 sekundy. Badał dokładnie na zegarku. Chora spała. — Nóż — syknął profesor. Podano narzędzie. Bierkowski był doskonałym operatorem. W owych czasach tylko mistrzowie się liczyli: zabiegi musiały trwać jak najkrócej, aby chory i trzymający go pomocnicy jak najkrócej się męczyli.

Ropień miał cał grubości. Cięcie wzdłuż wykonał profesor w trzy sekundy. W pięć sekund zakończył cały zabieg. Po upływie minuty Węgielkowa zbudziła się.

## HISTORIA NARKOZY

XV wiek. Theophrastus Bombastus Paracelsus odkrywa nasenne działanie białego wiotriolu (eter etylowy).

1542. Aptekarz Valerius Cordus w farmakopei wydrukowanej w Norymberdze opisuje metodę otrzymywania tajemniczego, działającego nasennie, wiotriolu. Praca przepadała głęboko w archiwach miasta.

1772. Joseph Priestley odkrywa podtlenek azotu.

1792. Biały wiotriol otrzymuje nazwę eteru. Nadaje mu ją niemiecki chemik Frobenius.

1798. Anglik Humphrey Davy odkrywa znieczulające właściwości podtlenku azotu czyli jak go określa „gazu rozwesalającego”.

1806. Fryderyk Sertürner z Paderbornu otrzymuje z opium morfinę — pierwszy na świecie alkaloid.

1818. Faraday ogłasza w czasopiśmie angielskim „Journal of Science and Art” artykuł o znieczulającym i usypiającym działaniu eteru. Porównuje to działanie z działaniem gazu rozwesalającego.

1824—1828. Henry Hickman, lekarz angielski, po przeprowadzeniu do-

świadczeń na zwierzętach z gazem rozwesalającym, szuka nadaremnie do drzwi instytutów i akademii o pomoc w dalszych pracach.

1846. 16 października w Bostonie (USA) odbył się pierwszy w świecie zabieg pod narkozą. Narkotyzarem był dentysta Morton.

1846 i 7. Triumfalny pochód narkozy eterowej przez całą Europę. Wychodzi praca Pirogowa na temat narkozy — jedno z podstawowych dzieł, które utworowało dalszą drogę rozwoju w tej dziedzinie medycyny.

1847. James Simpson z Edynburga wprowadza chloroform jako środek usypiający podczas porodu.

1864. Pierwsze bezbolesne wyjęcie zęba pod narkozą gazu rozwesalającego.

1868. Pierwsza wielka operacja pod narkozą (gaz rozwesalający).

1880. Profesor rosyjski Klkwicz wprowadza gaz rozwesalający do praktyki położniczej.

1881 — do naszych czasów. Szybki i nieustanny rozwój anestezjologii. Narkoza różnymi zmieszaniem gazami. Aparaty do narkozy. Uspienie do tchawicy.

siegali się na wszystko, że ani krzyły bólu nie czuli.

— Powiedźże to, panie profesorze, chorym! Akurat ci uwierzą. Oni dobrze wiedzą, że operacja boleć musi. Ot co — mówił doktor Jaszczurowski.

— W jednym macie rację — rzekł Bierkowski. — Rzeczywiście, jak się komu powie jak i co, to nie zeche. Ze strachu. Wiesz pan, panie kolego, co zrobimy? Ludzi trzeba czasem zaskoczyć nowością. Dla ich własnego dobra.

Bierkowski ujął w dłonie wielki pęcherz wypchniony watą. Wata przepojona była obficie eterem. Z pęcherza wystawała długa rurka cybucha. Taki był ten pierwszy polski aparat do narkozy eterowej.

— Przywiedźcie mi eo rychlej którąś z pacjentek. Choćby tę, jak jej tam, Węgielkowa — profesor znał nazwiska niemal każdego swego pacjenta.

Regina Węgielkowa była służącą. Ta młoda, 28-letnia kobieta cierpiała na znacznej wielkości ro-

— Dobrze się spało? — zapytał profesor. — Nie bolało?

— A co miało boleć?

— E, nic. A czy zgodziłaby się pani, żeby w takim śnie przeprowadzić operację?

— A naprawdę nie będzie nic-bolało?

— Naprawdę.

— No, to niech pan profesor usypiają i krają.

— Nie potrzeba. Już po wszystkim. Za dwa tygodnie pójdzie pani zdrowa do domu.

Nie chciała wierzyć. Jeszcze w dwa dni po zabiegu myślała, że ją oszukują. Dopiero przy opatrunku okazało się, że wszystko idzie dobrze, uwierzyła. I gdy wchodził profesor patrzyła na niego rozmiłowany spojrzaniem. Chore z sali twierdziły, że zakochała się w profesorze.

(Fragment z książki „Niewidzialne armie kapitulują”, która ukazała się nakładem „Wydawnictwa Literackiego”).

ADAM HOLLANEK

# TRZEBA O TYM POWIEDZIEĆ...

**NA** ROGU Alej Jerolimskich i Marszałkowskiej czerwone światło sygnału, jak wylizana landrynka...

Obok sygnałów dwa tuziny młodych chłopców i dziewcząt. Stoją bez celu, gapią się gdzieś w dal, mówią do siebie. Lub nie mówią. 1) Późna jesień, zimny wiatr. Przesiadawali dotychczas w Ogrodzie Saskim, teraz przenieśli się bliżej. Jakby w świetle tych latarń mogło być cieplej.

Natomiast na pewno jest cieplej w cukierniach.

Cukiernia „Polonia“ na rogu Poznańskiej zmieniła się w ostatnich pięćdziesięciu latach nie wiele; trochę tu teraz mniej luster, a więcej brudu. Każdy lokal ma swoją stałą klientelę — do „Polonii“ przychodzą przejezdni i młodzież. Nie brak i takiej z Ogrodu Saskiego i z rogu Marszałkowskiej.

W cukierni gra orkiestra: „Dziad mój miał szesnaście lat“.

Przy stoliku z grupą koleżanek siedzi dziewczyna z grzywką. 2) Nie ma więcej niż szesnaście lat. Koleżanki nachylone ku sobie, rozmawiają. Właściwie — rozglądają się po sali. Eh, to nie prawda, że tylko mężczyzna lustruje kobietę od stóp do czubka głowy. Żebyście widzieli ów wzrok ciekawy, żarłoczny, jakim ogarniają te dziewczęta każdego wchodzącego osobnika płci męskiej! Jak na podłotki, trochę za dokładnie są /chyba te ogledziny i trochę za beczelne te spojżenia. Bogaty zresztą jest repertuar tych łowów. Od subtelnych spojrzeń do chwytania za rękaw.

Orkiestra gra: „Jeszcze raz, jeszcze raz, jeszcze raz, ptaszku mój...“

Wszystkie stoliki zajęte. Starszy jegomość w wytartej jesionce rozgląda się bezradnie w poszukiwaniu miejsca. Zapytuje nieśmiało, czy może się dostać do trzech dziewcząt. Odmawiają z podniesionym czołem.

„...ptaszku mój...“ Skrzypek ma minę żalną. Muzyk od kontrabasu szczypli swój instrument z pasją godną lepszej sprawy. Po twarzy harmonisty płacze się uśmiech filozoficznej ironii.

Podchodzi teraz młodzieniec. Garniturek owsem. Czoło wysokie, prawie do ciemienia. Ukłon elegancki i „Czy panie pozwolą?“

— Proszę.  
„Jeszcze raz, ptaszku mój...“  
Rozmowa nawiązuje się niezwłocznie. Nie ma na co czekać. Co najwyżej na cienką kawę. Po minucie śmieją się wszyscy chórem. I on — i one. 3)

1) W szarym, nader nieefektywnym lokalu I Komisariatu Milicji Obywatelskiej znajdują doskonale cel tych zbiórek na skrzyżowaniu dwóch największych arterii komunikacyjnych Warszawy. Mało to razy dziewczyna zapytywana przez dyżurnego podoficera, gdzie poznała „Jego“, odpowiadała: „Dob zegarem“. Zegar zniknął nie dawno wraz z przeniesieniem Dworca Śródmiejskiego, nie zniknęło tylko zbiegowisko z centralnego punktu stolicy.

2) Z grzywką? Czarna, puciołowata? — Znajdą ją w I Komisariacie doskonale. Przesiaduje w lokalach co wieczór, szczypla mężczyzn. Kiedyś zatrzymano ją za to. Wzwanow ojca. Był bardzo zakoczony. Przecież córka wychodziła zawsze z koleżankami. Lub mówiła, że będzie nocować u ciotki...

3) W „Polonii“ i w wielu innych lokalach stolicy nie brak młodzieży przyzwyczajonej, szukającej dobrej rozrywki i zabawy. Ostrożnie zatem z pobieżnymi osadami! Konfrontacje w komisariacie milicji — konfrontacje nieoczekiwane, często wstrząsające — nie dotyczą przecież wszystkich bywalców tych lokalii.

tak, tak — do toalety. Po drodze chwytają dwa słowa:

— „Stolica“, czekamy.

Obaj młodzieńcy idą z „Polonii“ do Cedetu. Wiatr porywisty, lodowaty, od Wisły. Oprychówki wypchane gazetami, nasunięte głęboko na głowę.

— Fajna, co? Nie mówiłem, że tu zawsze można znaleźć?

— W dechę. Tylko czy przyjdzie?

Czy odstawi tych dzieciolów?

— Spokojna głowa. Znam ją. Z widzenia.

Wiatr włącza słowa na powrót do gardła. Na szczęście do restauracji „Stolica“ w Centralnym Domu Towarowym nie jest daleko.

Drzwi oczywiście zamknięte. Przed drzwiami tłok i pijacka awantura. Milicjanta nie ma. 4)

Winda. Na VI piętro. Koło szatni kilkanaście osób. Na salę wpuśczeni niechętnie, z laski; tłok.

Na sali prawie jak na zebraniu produkcyjnym. Sztymno, zasadniczo. Niby parkiet zatłoczony. Niby śmiech saksofonu. Ale bez wdzięku, bez życia. Nastroj raczej ponury.

Pod filarem siedzą dwie dziewczyny z chłopakami. Jedna dziewczyna zawstydzona, pełna rumieńców i wahania. 5) Druga rozchichotana, chętna do wszystkiego. 6) Wino na stoliku i wódka pod stolikiem. Nie wszyscy muszą widzieć jak miesza się te napoje; to tylko kwestia zręczności.

„Ona marzy o miłości“ — szepcze do mikrofonu pieśniarz, te same słowa powtarza do ucha „zawstydzona“ śpiąca się chłopak. A słowa najgłupsze nawet, lecz podlane wódką i sentymentem, brzmią tak pięknie...

W pobliżu orkiestry siedzi para zakochanych. Ich uśmiech jest pełen szczęścia. I oni piją wino. Ale nie wzmianciane. I oni się bawią. Ale ich zabawa nie cuchnie.

Na sali pojawiają się także nasi dwaj znajomi z „Polonii“. Po kwadransie przychodzi też platynowa blondynka. Witają ją dwie podniesione radośnie ręce. Ci już wygrali.

Tym spod filara pozostało jeszcze do zwycięstwa ćwierć litra z czerwoną kartką i butelka wina.

Istotnie. Po godzinie jeden z chłopców kieruje się z „zawstydzoną“ w stronę wyjścia. Dziewczyna

6) Stanowczo za mało tu milicjantów. I interwencje ich nie zawsze są dość energiczne. Ale ciężką oni mają robotę. Muszą być także pedagogami. Tak np. dopiero nie dawno przy Lidzie Kobiet na ul. Mokołowskiej zaczęła działać specjalna komisja, przeprowadzająca rozmowy z zatrzymanymi dziewczętami i skierowująca je do pracy. Nadal jednak trudny obowiązek pierwszego słowa prawdy spoczywa na milicjantach.

7) Takich co wyraźnie wiedzą czego chcą jest procent niewielki. Sporo dziewcząt przychodzi tu po prostu dla zabawy i dla muzyki.

8) Gdyby matki i ojcowie wiedzieli, jaką rolę odgrywają często przyjaciółki — powierzone im córki! To one one wprowadzają je w świat, one mydlą oczy rodzicom. Ież to razy w komisariacie dziewczyna wyznaje z płaczem, że to „koleżanki ją namówiły i sprowadziły na złą drogę, a później była wódka“.

chwycie się na nogach. W tym stanie jest już gotowa na wszystko.

Na Poczcie Głównej przy ulicy Nowogrodzkiej urządzonej tej nocy zabawę. Wstęp 20 złotych od osoby.

Trzeba wejść na piąte czy szóste piętro, minąć kilku strażników z karabinami, przekonać ich, że się chce pobawić, i wreszcie przebrnąć przez tłum obiegający szatnię.

Przed szatnią dwóch facetów zaciepiła dziewczęta. Są na gazie. Przyszli tu pewnie prosto z kina „Atlantic“, zawadając po drodze jedynie o bar „Metro“. Nie zdążyli nawet zdjąć „bandytek“ z głowy.

Organizatorzy są czujni: — Panowie, proszę opuścić zabawę!

W odpowiedzi wiązanka epitetów obija się o brudne ściany. A jednak wychodzą. Obok stoi mężczyzna w mundurze.

W długiej jak kiszka sali („Mali-nowej“) — pełno. Prawie wyłącznie młodzież. W bezałkoholowym bufecie kilku zawianych akompaniują orkiestrze: „Czekaj sestro, nie tak ostro...“

Szaro od dymu. Smutne postacie pod ścianami. Znużone twarze na parkiecie. Kilkunastu trzęsących się jak w chorobie świętego Wita. Zabawa jest całonocna. Czasem są atrakcje: butelka w szybę lub pięść w podbródek. 7)

Oto cztery godziny spędzone w promieniu kilkuset metrów od lokalu jednego Komisariatu Milicji Obywatelskiej w Warszawie.

Ale pamiętać trzeba, że milicja ma za zadanie ochronę porządku publicznego. Milicja może wkraczać tylko w wypadkach awantury i oczywistego chuligaństwa. Nie może wystawić posterunku przy każdym stoliku w Cedecie i pilnować czy jakiś łobuz bez skrupułów nie rozpija w celach wiadomych niemądrej dziewczyny. Milicja nie załatwi też problemu tej dziewczyny, która sama utraciła już skrupuły i szuka w „Polonii“ przygodnych partnerów zabawy o wiadomym, alkoholem podlewany przebiegu i wiadomym finale.

To są sprawy, w które milicjant może interweniować dopiero wtedy, gdy zaszyj już bardzo daleko. Ale przecież ci młodzieńcy i dziewczęta gdzie pracują (albo pracowali), przecież chodzą (albo chodzili) do szkoły, przecież mają (albo mieli) jakieś życie rodzinne. I tam: w rodzinie, w szkole, w miejscu pracy, tam gdzie kształtuje się charakter, wyrabia styl życia, gdzie młodzi ludzie uczą się spędzać swój czas wolny, bawić się, gdzie zdobywają kulturę współzycia z innymi — tam trzeba szukać środków zaradczych. Nie dopiero w komisariacie MO.

OLGIERD BUDREWICZ

9) Zabawy na Poczcie odbywają się często. Wiele z nich, niestety kończy się dla części uczestników w I Komisariacie Milicji. Trzeba wyraźnie podkreślić jednak, że zagadnienie polega nie na tym, czy innemu lokalu. Lokal jakiś zawsze się znajdzie. Na przykład w Krakowie przez pewien czas punktem zbornym gdzie spotykały się rozchuliganione towarzystwa była... świetlica Międzyzwiązkowa. Nie ta czy inna cukiernia, winiarnia lub restauracja ponosi tutaj winę.



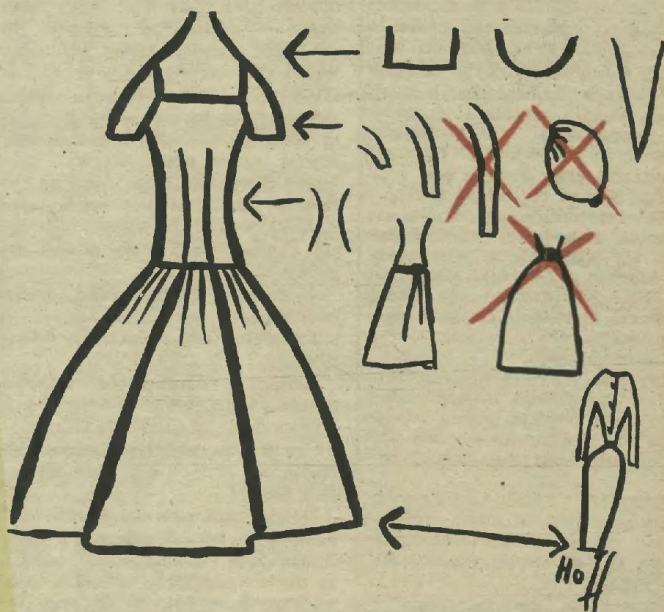
Po lewej modna sukienka balowa. Stanik ze skrzyżowanych, marszczonych plis, spódnica ułożona w swobodne kontrafaldy, podwójna szarfa w dwóch kolorach (b. modne!), rękawiczki w kolorze sukni

MODA

Po prawej krótka sukienka wieczorowa. Zwróćcie uwagę na modny kształt dekoltu, obcisłe rękawki, przedłużoną talię, Stanik z boku zapinany, spódnica obficie marszczona, do tego jasne rękawiczki



### SCHEMAT KRÓTKIEJ SUKNI DO TAŃCA



**CECHY KRÓTKIEJ WIECZOROWEJ SUKIENKI:**  
 dekolt—kwadratowy, okrągły, lub w szpic  
 rękawki—krótkie lub  $\frac{3}{4}$ , obcisłe!  
 stanik—obcisły, z długimi wszytkami, ta-  
 lia przedłużona, jeśli pasek lub szarfa—  
 to niżej talii, nie w pasie  
 spódniczka—z kilku brytów, marszczona  
 długość—taka jak sukienek codziennych

## Dziś LUCYNKA i PAULINKA w rozmowie p. f. NA PROGU KARNAWAŁU

— Przed pierwszą zabawą karnawałową mam zawsze wielką trempę — powiedziała Lucynka.

— Któż nie ma! — westchnęła Paulinka. — Ale od czego sposoby? Do zabawy trzeba się racjonalnie przygotować. Dam ci kilka wskazówek. Otóż:

- nie rób sobie przed zabawą trwałej ondulacji. Wiemy, że włosy wyglądają jako tako dopiero w około 2 tygodnie po tym zabiegu. Lepiej być uczesana na zabawie w proste kosmyki, niż w drobno gufrowane, matowe sianko
- jeśli chcesz mieć na zabawie włosy cudnie puszyste, przed ułożeniem zmocz je jasnym piwem

manicure zrób sobie poprzedniego dnia, ale pomaluj lakierem dopiero w dniu zabawy, już po wszystkich pracowitych przygotowaniach

- po południu, przed zabawą, godzin-  
kę się prześpij...

— Nie ma mowy, nerwy nie pozwolą — przerwała Paulinka.

— No to przynajmniej polez w przy-  
ciemnionym pokoju, z zamkniętymi  
oczyma. A dalej:

- umyj się „na duże wycięcie”,  
a ubierz na skromne. Nie odwrotnie!
- nie wyciskaj w tym dniu czarnych  
punktów na twarzy! Operacja taka po-  
zostawia widoczne ślady. Natomiast  
możesz poddać twarz parówce, nastę-  
pnie wytrzeć namydloną miękką szczot-  
ką i splukać zimną wodą. Doskonale

działa na oczyszczenie porów parówka  
z wywaru korzeni szałwu.

- nie objadaj się przed zabawą, ale  
też nie idź na głodno. Zjedz lekką ko-  
lację w domu
- przed zabawą nie pij „dla kurażu”  
ani krzty alkoholu! Jeśli czujesz się  
„kłapnięta”, to wypij lemoniadę z cy-  
tryną lub filiżankę mocnej czarnej  
kawy. Skutek znakomity!
- nawet jeśli masz mało czasu, przy  
dwóch czynnościach nie wolno ci się  
śpieszyć: przy malowaniu ust i przy  
wkładaniu pończoch
- jeśli masz długą sukienkę, możesz  
pończoch wcale nie wkładać. W ten  
sposób unikniesz ściskania się paskdem,  
który często bywa powodem przed-  
wczesnego zmęczenia i bladego wygła-  
du już po godzinie tańców. A jeśli  
pasek, to luźny. Taniec jest przecież  
trochę sportem, a któż uprawia sport  
w gorsecie?
- to samo dotyczy bucików

• prócz ust niczego nie maluj: posta-  
rza!

• gdy chcesz zapewnić sobie tancerzy,  
przyjdź na zabawę wcześniej i umieść  
się blisko drzwi. Stoi tam zawsze grup-  
ka niezdeterminowanych chłopców, z któ-  
rych niejeden ośmieli się podejść do  
ciebie parę kroków, ale nie ośmieli się  
przejść przez całą salę

• do sukienki wieczorowej nie wkładaj  
swojego sportowego zegarka. Wygląda  
nieelegancko i wcale się nie przydaje,  
bo na zabawie nikt nie pyta o godzinę

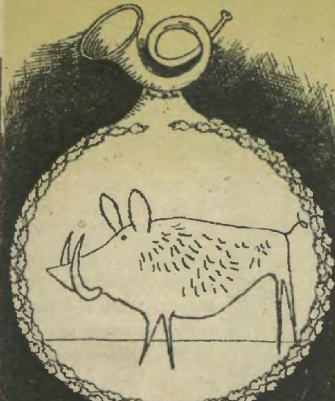
• dobrze jest przed zabawą wymoczyć  
nogi w ciepłej wodzie i pomasaować,  
w kierunku od stopy do kolana... To  
już chyba wszystko.

— Moc roboty! — powiedziała Lucyn-  
ka. — Czy przynajmniej jesteś pewna,  
że takie przygotowania zapewnią dobrą  
zabawę?

— W każdym razie skutecznie rozpe-  
dzają trempę — zapewniła Paulinka.

KONIEC

# JANUSZ MEISSNER



## CHUDZIELEC

**S**TART do końca życia nie mógł zrozumieć, że rola psa podczas polowania na dziki polega między innymi także na szczekaniu. Nie szczekał nigdy, jak przystało na przyzwyczajonego wyzła, i nie chciał przerwać tego dostojnego milczenia nawet dla dzika, jakkolwiek bardzo szybko pojawiły się wszystkie inne obowiązki i wszelkie arkana polowania na czarnego zwierza. Gniewne, niezbyt głośne warczenie było jedynym ustępstwem, na jakie się zdobywał podczas takich spotkań. Ponieważ jednak zwykle w wyprawach na dziki brało udział kilku myśliwych i kilka psów, przeto zabierałem go zawsze, zwłaszcza, że tropił doskonale i potrafił osadzić w miejscu lub nawrócić nawet zdrową sztukę nie mówiąc już o postrzałach. On był milczącym przewodnikiem: poślednie kundły-dzikarze poddawały się jego przewodnictwu, a ujadają za niego i za siebie.

Jedno z pierwszych jego spotkań z dzikiem zdarzyło się w Poznańskim.

Zima tego roku zaczynała się łagodnie. Śniegu było niewiele i raz po raz następowała odwilż. Dopiero w połowie grudnia ustalił się lekki mrozek. Pozostało mi do wykorzystania parę dni urlopu, a o przeloty służbowe nie było trudno. Postanowiłem polecieć do Poznania ze Startem. Obawiałem się tylko, czy nie zamarnie w powietrzu, bo jednak w górze, powyżej tysiąca metrów mogło być że dwadzieścia pięć stopni poniżej zera.

Ale i na to znalazł się sposób, wymyślony przez szefa mechaników, Trzaska, który chciał lecieć ze mną. Obok maszyny wyciągniętej z hangaru zastałem rozłożony na ziemi futrzany korbinezon. Start natychmiast zrozumiał jego przeznaczenie, bez żadnych ceregieli ułożył się wewnątrz i przyglądał się spokojnie jak mechanicy zapinali błyskawiczne zamki. Wtuszczyli go do samolotu i wsunęli pod fotel w tylnej kabinie, gdzie natychmiast zasnął i spał do Poznania.

Wzbudził tam niemal sensację, gdy Trzaska go wypuścił, po czym pojechaliśmy do miasta i — już tylko we dwóch ze Startem — wsiedliśmy do pociągu, aby po niespełna godzinie przesiąść się na podwodę, którą przysłał po nas nadleśniczy.

Tymczasem zachmurzyło się i zaczął przysyć śnieg. Wieczorem sypano już na dobre, więc wróżyłem sobie polowanie po białej stopie. Lecz następny rano przesyłał wszelkie moje oczekiwania: świat

za oknami leśniczówki był biały od ponowy i różany od słońca!

Było nas trzech myśliwych: nadleśniczy — inżynier Tatar, jego siostrzeniec — Władysław (którego nazwiska nie dosłyszałem) i ja. Przyjmował nas gościnnie leśniczy Duda, przeniesiony tu służbowo przed paru laty. Nie polował od czasu owego przeniesienia, ponieważ stracił władzę w prawej ręce wskutek jakiegoś wypadku, ale znał się na sprawach łowieckich, jak mało kto.

Start przywitał się z nim przyjaźnie, zaszczylił inżyniera dwukrotnym kiwnięciem ogona i szczegółowo obwąchał pana Władysława, właściciela suczka Azy, która po chwili ukazała się w otwartych drzwiach kuchni wraz z gospodynią i herbatą.

Po wstępnych ceremoniach, polegających na wzajemnym obwąchiwaniu i obchodzeniu się wokół na sztywnych łapach, Start przestał się interesować tą znajomością. Co prawda suczka nie była piękna: miała łeb jak kubek osadzony na cienkiej szyi, wyrastającej z wygiętego kadłuba o krótkich nogach i wywinętym w spirale ogonie. Za to posiadała mnóstwo zalet, o których jej właściciel informował mnie podczas śniadania. Była dzikarką z dziada pradziada i oczywiście głosiła wyłącznie dzika, szła kilometrami za farbą, różniła znakomicie świeży trop od dawnego i na cichy gwizdek bez wahania wracała do nogi. Odznaczała się przy tym niesłychaną ciętością i odwagą.

Pan Władysław rozwdził się nad tym szeroko, powołując wujnadleśniczego na świadka, ale z niepewnych potakiwań tego ostatniego wywnioskowałem, że siostrzeniec zapewne trochę przesadza.

— A pan na dziki z wyzłem? — zapytał w końcu.

Powiedziałem, że Start jest uniwersalny. Był ze mną nawet na rykowisku.

Właściciel fenomenalnej Azy uśmiechnął się pobłażliwie.

— Chyba nie zaportował panu jelenia?

— Nie. Ale podszedł go wraz ze mną. Poza tym przydał się i tam: strzelałem także kaczki. A jeśli chodzi o dziki — może się czegoś nauczy przy Azie...

— Był jej nie przeszkadzał — odrzekł.

Uspokoiłem jego obawy i wstaliśmy od stołu, aby wreszcie wyruszyć w las.

Drzewa stały w śnieżnej okiści, mróz trzymał, na bladym niebie pyszniło się słońce. Przeszliśmy jeden i drugi zagajnik, potem wysokie las bez podszycia. Teren był falisty, pagórkowaty, o stromych wzniesieniach, poprzeryzany głębokimi jarami. Psy szły w gąszcz, myszowały w krzakach na dzień jarów i nie znalazły tam nic godnego uwagi ukazywały się na przesiekach. Start wracał do nogi bez wezwania i szedł o pół kroku za mną, póki mu nie kazałem szukać, ale Azę trzeba było brać na smycz, bo rwała się naprzód.

W jakiejś dragwinie pogoniła za zającem, skomląc z uciechy, i żaden gwizdek nie skutkował, póki nie zgubiła tropu. Pan Władysław był nieco zakłopotany tym jej wybrykiem, a jego wuj mrugnął do mnie porozumiewawczo. Natomiast Start wystawił pięknie raz po raz dwa koty śpiące na skraju kultur świerkowych, ale nawet nie drgnął gdy ruszyły. Naklepałem go za to i pochwaliłem, a pan Władysław zauważył kwaśno:

— Ten pański wyzł to straszny flegmatyk. Nie pali się do zwierzęt...

Nie zamierzałem podejmować obrony mego psa, ale ujął się za niego Duda.



Ja dobiorem puder do właściwości cery, do pory roku a nawet stroju.

Jobie

radzę wypróbować duży wybór pudrów, które nabezdziesz w każdym sklepie perfumeryjno - kosmetycznym.



K-4062

— Mądry piesek — powiedział z przekornym uśmiechem. — Wie, że tu nie o zająca chodzi. Nie przeproszę dzika!

— Aza też nie przeproszyła — odparł tamten. — Zresztą nie było co ploszyć. Jakoś nie bardzo tu z tymi dzikami...

— Będą nad jeziorem. Albo z tej strony, albo z drugiej — oświadczył Duda.

Wysliśmy właśnie na porębę, skąd zobaczyłem jezioro. Leżało w dole, u stóp wzgórza, z trzech stron otoczone lasem. Miało kształt podkowy — jak ślad wyciśnięty stopą olbrzyma, który tędy przechodził siedmiomilowymi krokami. Było tylko częściowo pokryte cienką warstwą lodu przy brzegach zarosłych trziną; po środku marszczyła się lekko potyskliwa toń, ze smugą słońca, które stało nad wioską przysiadła w oddali, na wprost długiej, zwężającej się zatoki.

Rozdzieliliśmy się. Leśniczy wolno szedł brzegiem, prowadząc Azę na smyczy. Ja usiadłem na kamieniu granicznym i spoglądałem za dwoma myśliwymi, póki mi nie znikli z oczu oddalając się skrajem lasu. Start wiercił się koło mnie, jakby znieczepliwiony tym postojem, więc kazałem mu usiąść. Usuchał, ale raz po raz odwracał głowę w stronę jeziora i węszył.

— Kaczki — pomyślałem.

Widziałem je po środku wody gdy przechodziłmy porębę po drugiej stronie. Teraz zapewne ukryły się w trzinach.

Miałem ochotę na papierosa, ale wiatr pociągał od jeziora w kierunku miotu, więc musiałem powstrzymać się od palenia.

Obejrzałem się za leśniczym i zobaczyłem go o jakieś dwieście kroków. Stał pochylony, jakby czegoś szukał na śniegu. Wtem zwrócił się ku mnie i przyzwał mnie nagłym gestem.

Zacząłem iść ku niemu, ale pokazał mi, żebym się odsunął od brzegu i obszedł dalej, lasem. Wyciągnąłem stąd prosty wniosek, że

znalazł trop prowadzący od lasu w szuwary.

Właśnie chciałem skrócić w prawo, gdy Start warknął z cicha i pędem wpadł w trzcinę. Zaraz potem usłyszałem fuknięcie dzika, coś się tam zakotłowało, ucichło na chwilę i znów zaszeleściło wśród gęstwiny zeschniętych łodyg, które chwiały się to dalej, to bliżej, wskazując miejsce toczącej się potyczki.

Start walczył w milczeniu, przerywanym tylko od czasu do czasu groźnym krótkim warceniem; przyskakiwał i cofał się unikając ciosu zakrzywionych szabel, nacierał z boku i z tyłu, podczas gdy dzik obracał się ku niemu gwałtownymi rzutami, pofukując gniewnie, lecz nie zdradzając bynajmniej zamiaru opuszczenia kryjówki.

Musiał być stary i doświadczony; przeczuwał niebezpieczeństwo grożące mu na brzegu i zdawał sobie sprawę, że jeden pies nie da mu rady. Mnie zaś ogarniała coraz większa obawa o Starta, który prędzej czy później mógł paść ofiarą własnej odwagi i zaciętości.

Mimo to stałem w miejscu, nie mogąc się zdecydować na interwencję. Wiatr mi sprzyjał; dzik nie mógł mnie poczuć; może więc ruszy na mnie, uprzykrzywszy sobie natręta, który mu dokuczał, a którego nie udawało mu się dosięgnąć.

Stało się jednak coś wprost przeciwnego: nagle zatrzęszał lód, plusnęła woda i zobaczyłem czarny gwizd, prujący powierzchnię zatoki.

Zawahatem się przez sekundę: miałem niewygodną pozycję, wprost z tyłu, a gdybym zabiegł

DOKOŃCZENIE

NA STRONIE 22-GIEJ





# KSIĄŻĘ WINDSOR w TARAPATACH



W 1937 r. księstwo Windsoru odwiedzili Berlin, witani przez hitlerowskiego ministra Leya (ostatni z prawej)



Księstwo Windsoru nie zostali zaproszeni na koronację Elżbiety II. Oglądali koronację w Paryżu na ekranie telewizyjnym



W czasie swej podróży do Niemiec, Windsor z małżonką odwiedzili w Berchtesgaden Hitlera. Oto na zdjęciu Führer wita przybyłych do jego rezydencji gości

**K**ILKA tygodni temu, książe Windsoru, ex-król Anglii wysiadł na londyńskiej Victoria Station. Przyjeżdżał — sam z kontynentu — do ojczyzny, by spędzić week-end w posiadłości swego przyjaciela, lorda Dudley. Lordowie Dudley i Monckton, oczekujący księcia, powitali go z ceremonialnym uszanowaniem, pod którym jednak nie mogli ukryć odrobiny niepokojów.

Już poprzedniego dnia bowiem poinformowano ich, iż w Londynie czeka księcia przykra niespodzianka. Gdyby nie to, że wycieczka księcia była już przez prasę zapowiedziana, najlepiej było ją odłożyć.

Kiedy 18 lat temu Edward VIII, abdykując, oświadczył złamanym głosem: „Składam ciężar korony brytyjskiej” — i stał się księciem Windsoru, miał zostać przedko „zwykłym obywatelem” Albionu. Tymczasem okazało się, że niezawisłość jego nieraz jeszcze powróci na szpalty gazet.

Wiadome są okoliczności abdykacji Edwarda VIII. Za czasów, w których był następcą tronu (księciem Walii) znany był wśród londyńskiego towarzystwa ze swego dość swobodnego życia. Jednocześnie niepokoił polityków brytyjskich swymi ekstrawagancjami politycznymi. Nie krył się, że pragnie być „królem-nowatorem”, że będzie starał się, jeśli nie wpłynąć bezpośrednio na losy kraju, to przynajmniej żądać, aby jego głos był w sprawach politycznych słuchany. Jak na króla Anglii, który według starej formuły, „panuje, ale nie rządzi” i któremu inicjatywa polityczna jest najsurowiej zakazana, był to zamiary bardzo niewłaściwe. Toteż, gdy król postanowił ożenić się z Amerykanką p. Wallis Simpson, dwukrotnie rozwódka, zarówno koła dworskie, jak i sprawujący władzę politycy, chwycili okazję, aby doprowadzić króla do abdykacji. Samą utratą korony nie przejął się on, zdaje się, zbytnio, gdyż obowiązki reprezentacyjne i purytańskie obyczaje na dworze nudziły go śmiertelnie. Natomiast dotknął głęboko jego ambicję sposób traktowania jego i żony, już po zrzeczeniu się korony i po zawarciu małżeństwa. Dano mu bowiem do zrozumienia, że nie ma się co pokazywać z „tą panią” nie tylko na dworze, ale w ogóle w Anglii. Księstwo Windsor (a właściwie książe Windsor i pani Windsor, gdyż odmówiono jej tytułu) pozostali więc na „emigracji”, przy czym książe dopiero po latach zaczął od czasu do czasu sam, a dopiero ostatnio także z małżonką, odwiedzać na krótko Anglię.

I właśnie w czasie ostatniej wi-

zyty spotkała go nowa przykreść... Cóż bowiem tak niepokoiło witających Windsora lordów? Dzienniki londyńskie, które głosiły wielkimi tytułami na pierwszych kolumnach: „Kontakty księcia Windsoru z hitlerowcami w czasie wojny!”

Chodziło o dwa listy hitlerowskiego ambasadora w Holandii, hr. Juliusza von Zeck-Burkersrode, wystosowane w 1940 do zastępcy Ribbentropa — sekretarza stanu w berlińskim MSZ, Weizsäckera. Znalazły się one w jednym z tomów ogłaszanych obecnie oficjalnie przez rząd brytyjski dokumentów, dotyczących spraw międzynarodowych z okresu wojny. Ową ambasador, stojący na czele rozgałęzionej organizacji szpiegowskiej, pisał, że pewne przesłanki pozwalają mu sądzić, jakoby Windsor był skłonny do porozumienia się z hitlerowskimi Niemcami. Zarazem podawał, że książe rozgłosił jakieś tajemnicze wojskowe, odnoszące się do obrony Francji, komentując je w niepewnym towarzystwie.

Książe nie był poinformowany o tym, że te obciążające go listy zostaną opublikowane. Być może stało się to przez czyjąś rozmyślną złośliwość. Dość, że sensacyjny problem: „Czy b. król Anglii był winny zdrady stanu” wypłynął na łamy gazet. Wdowa po hrabim Burkersrode przyznała co prawda po jakimś czasie, że jej mąż nigdy nie miał kontaktów z księciem i wiele przemawia za tym, że hitlerowski ambasador po prostu wymyślił swoje rewelacje, licząc na to, iż sprawdzić się ich nie da, a zaskarbia mu one uznanie Ribbentropa i Hitlera.

— Ale nawet gdyby tak było — rozumować zaczęli dziennikarze — to co skłoniło hitlerowskiego dyplomata do rzucenia oszczerstwa na tego właśnie człowieka? Co pozwoliło nam przypuszczać, że Ribbentrop i Hitler będą uważali, iż książe Windsoru jest człowiekiem, po którym można się spodziewać profaszystowskich sympatii? I dzienniki zaczęły przypominać pewne fakty z życia księcia:

Wkrótce po wstąpieniu na tron w 1936 r. Edward VIII odbył na pokładzie swego jachtu „Nahlin” dyskretną wycieczkę po Morzu Śródziemnym w towarzystwie swej przyszłej żony. W czasie tej podróży złożył, trzymane w tajemnicy, wizyty paru dyktatorom, znanym ze swych faszystowskich tendencji, jak Metaxas w Grecji i regent Paweł w Jugosławii.

Gdy pani Simpson nie znalazła jeszcze księcia (wówczas — księcia Walii), cały „wielki świat” wiedział o przyjaźni, jaka ją łączyła z von Ribbentropem, wówczas ambasadorem Reichu w Londynie.

W londyńskich kabaretach śpiewano nawet wtedy drwiącą piosenkę o wizytach Ribbentropa w „Bryanton Court”, pałacyku pani Simpson.

Małżeństwo księcia z p. Wallis Simpson zostało zawarte we Francji, na zamku w Candé. Była to własność Karola Bedaux, bogatego przemysłowca amerykańskiego, z pochodzenia Francuza, znanego ze swych profaszystowskich sympatii i kontaktów w Niemczech. Onże Bedaux skłonił małżeństwo Windsorów do podróży do USA niemieckim transatlantykiem „Bremen”. Wobec nieprzychylnych komentarzy prasowych (członek angielskiej rodziny królewskiej płynie niemieckim statkiem!), książe odwołał swą podróż.

Wreszcie celem pierwszej dłuższej podróży Windsorów po abdykacji (nie licząc oczywiście pobytu we Francji) były hitlerowskie Niemcy. Prasa ówczesna reprodukowała zdjęcia księcia, witanego przyjaźnie przez ministra Leya, przechodzącego przed frontem kompanii honorowej, i uśmiechającego się z sympatią do Hitlera. Sympatie profaszystowskie księcia były zresztą dość znane. Uważano jednak na ogół, że chce nimi po prostu epatować liberalno-arystokratyczne koła Anglii, tak jak w swoim czasie lubiący atmosferę skandalu książe lubił gorszyć dwór objawami sympatii dla Labour Party.

Windsor sądził, że wojna przyczyni się do „darowania mu” megalomani, abdykacji i rozmaitych „niezręczności”. Jako oficer brytyjski zgłosił się do służby i został mianowany inspektorem armii angielskiej we Francji. Po klęsce w 1940 znalazł się w Lizbonie, gdzie się dowiedział, że prasa niemiecka ogłosiła, jakoby wysłał on do Hitlera pismo z propozycją pokoju, aby oszczędzić swemu krajowi nieuchronnego zniszczenia. Nikt w to nie wierzył — niemniej Jerzy VI wysłał swego brata na drugą półkulę, mianując go gubernatorem Wysp Bahama, brytyjskiego archipelagu w środkowej Ameryce. Książe i p. Wallis spędzili tam pięć lat na zabawach i przyjęciach, podczas gdy reszta członków brytyjskiej rodziny królewskiej pełniła rozmaite funkcje wojskowe.

Z godną podziwu wytrwałością książe kontynuował swe podejrzane znajomości. Na Bahama afiszował się przyjaźnią z Wernerem Gren, szwedzkim milionerem, którego nazwisko znalazło się na alianckiej czarnej liście z powodu uprawiania przezeń handlu z Niemcami. W niewyjaśnionych dokładnie okolicznościach zginął Bedaux, którym ksiąstwo długo nie przestawali się interesować. Został on przez

władze alianckie aresztowany w Afryce Północnej, gdzie kolaborował z Niemcami. Przewieziono go do Stanów Zjednoczonych, do więzienia w Miami na Florydzie. Tam popełnił samobójstwo.

Po wojnie Windsor, już należycie „spokojny” politycznie, wrócił do Anglii, myśląc, że uzyska poważniejsze stanowisko. Starzającemu się księciu zaczęło się bowiem coraz bardziej nudzić i z coraz większym utęsknieniem powracał do żywionej od czasu abdykacji nadziei na jakąś reprezentacyjną, mało absorbującą, a dającą znużenie czynnego życia posadę. Attlee proponował mu podobno stanowisko gubernatora Kanady — funkcję czysto tytularną zresztą. Tymczasem trafił się księciu nowy kłopot: kradzież klejnotów żony w Ednam Lodge, w prywatnej willi lorda Dudleya, gdzie Windsorowie przebywali w gościnie. Najlepsi detektywi Scotland Yardu nie zdołali ich nigdy odnaleźć. Okazało się, że wśród nich znajdowały się rodzinne pamiątki. Tradycjonalistów brytyjskich poruszyło to, że książe podarował nieutytułowanej żonie, klejnoty swej babki, królowej Aleksandry. I Windsor nie został gubernatorem Kanady...

Zaręczyny i małżeństwo królowej Elżbiety mogły stanowić nowe okazje do „amnestii rodzinnej” dla księcia. Ale właśnie wtedy książe ogłosił swe pamiętniki. Rozwodził się w nich nad swą miłością do pani Simpson, plotkował o stosunkach na dworze za Edwarda VII i Jerzego V. Znow oburzyło to arystokrację, niechętną wynoszeniu na forum publiczne intymnych szczegółów życia angielskich monarchów. Na pogrzebie swego brata książe zjawił się sam. Na koronację Elżbiety nie zaproszono go i oglądał ją tylko w aparacie telewizyjnym z Paryża.

Tak więc, po osiemnastu latach od abdykacji, książe Windsoru jest tylko jednym z największych turystów globu. Nudząc się we wszystkich sławnych uzdrowiskach i stolicach świata, objechał już przeszło 10 razy kulę ziemską. Sześćdziesięcioletni starszy pan, który panował („ale nie rządził”) nad jedną czwartą kuli ziemskiej, dzieli obecnie swój czas między pilnowanie piesków pani Simpson, otwieranie balów dobroczynnych, oglądanie kolekcji mód i wycieczki jachtem przez wszystkie morza i oceany.

Według tygodnika francuskiego „Samedi soir” opracował  
**MICHAŁ KASPRZYCKI**

Każdy uczestnik bierze udział w losowaniu!

# ANKIETA LITERACKA

z nagrodami

**W**IDZICIE poniżej 21 stron tytułowych książek, KTÓRE NIE ZOSTAŁY NAPISANE. Autorzy są wam dobrze znani; przeważnie są to autorzy, których często spotykacie w „Przekroju”. Czy chciałbyś, czytelniku, żeby napisali takie książki, jakie proponujemy? Ankieta polega na odpowiedzeniu na pytanie: **KTÓRE TRZY Z PODANYCH DWUDZIESTU JEDEN CHCIAŁBYŚ PRZECZYTAĆ PRZED WSZYSTKIM?** — Namyśl się i wpisz te 3 tytuły na kuponie.

Ponadto jest na kuponie pusta ramka, gdzie możesz umieścić autora i tytuł książki, dotąd nienapisanej, którą chciałbyś przeczytać, a której myślny nie podali. To ostatnie zadanie nie jest jednak obowiązkowe. Jeśli nic ci nie przyjdzie na myśl, możesz nic nie wpisywać. Twoja odpowiedź będzie również ważna, jeśli spełnisz tylko pierwszy warunek ankiety.

Wyniki ankiety ogłosimy potem w „Przekroju”.

Wypełniony kupon wytnij i przyslij w kopercie z dużym napisem

**NAGRODY:**  
Nagroda I — KUPON 3 m PIEKNEGO MATERIAŁU EKSPORTOWEGO (waga 100%)  
Nagroda II, III, IV — praktyczne i ładne **BIŻUTERIE** Jani  
Nagroda V — **AMARAS** w puszcze, lub **OBRAZ OLEJNY** podziela Bracia Różni — do wyboru!

IMIĘ, NAZWISKO, ADRES .....

1  
2  
3

**KUPON**

„ANKIETA LITERACKA”, do dnia 5 stycznia (środa), na adres: Tygodnik „Przekrój”, Kraków I, Skrytka pocztowa 560. Jeśli bierzysz udział także w naszym konkursie „5 krótkich pustych”, to możesz oba kupony przysłać w jednej kopercie.

Między czytelników, którzy w terminie i na kuponie przysłały odpowiedzi na Ankiety, będą rozlosowane nagrody. **WSZYSTKIE ODPOWIEDZI NA ANKIETĘ WEZMĄ UDZIAŁ W LOSOWANIU.**

<p>Maria Dąbrowska</p> <p><b>DZIECI</b></p> <p>Tom I/II</p> <p>Dalszy ciąg dziejów rodziny Niechciców</p>	<p>Jarosław Iwaszkiewicz</p> <p><b>CZTERDZIEŚCI LAT</b></p> <p>Wspomnienia</p>	<p>Leon Kruczkowski</p> <p><b>KARUZELA</b></p> <p>Komedia</p>	<p>Jerzy Putrament</p> <p><b>WSZYSTKO</b></p> <p>Powieść współczesna</p>	<p>Janusz Meissner</p> <p><b>CZTERY PUDŁA</b></p> <p>Opowiadania myśliwskie</p>	<p>Wiech</p> <p><b>FELUŚ, GAZU!</b></p> <p>Pierwsza powieść sportowa Wiecha</p>	<p>Igor Newerly</p> <p><b>GRENADA</b></p> <p>Dalszy ciąg „Pamiętki z Celulozy”</p>
<p>Jan Kott</p> <p><b>OD „BALONIKA” DO MARYSIENKI</b></p> <p>Szkice o Boyu Zelańskim</p>	<p>Jerzy Szaniawski</p> <p><b>DZIEWCZYNA Z DESZCZU</b></p> <p>Powieść</p>	<p>Stanisław Lem</p> <p><b>DWA LATA WŚRÓD JOWISZAN</b></p> <p>Powieść fantastyczna</p>	<p>Czesław Komarnicki</p> <p><b>DROGOWSKAZY</b></p> <p>Wybór artykułów publicystycznych</p>	<p>Marja Zientarowa</p> <p><b>MAŻ CHODZI DO BIURA</b></p> <p>Nowy cykl opowiadań</p>	<p>Wojciech Zukrowski</p> <p><b>W KRAJU DALAJ LAMY</b></p> <p>Reportaż z podróży do Tybetu w roku 1955-6</p>	<p>Feliks Stamm</p> <p><b>KAŻDY MOŻE BYĆ BOKSEREM</b></p> <p>Samouczek bokseracki w 24 lekcjach</p>
<p>Kazimierz Koźniewski</p> <p><b>GERTRUDA</b></p> <p>Powieść o młodych dziewczętach</p>	<p>Marian Promiński</p> <p><b>CZARNE USTA</b></p> <p>Powieść z życia filmowców</p>	<p>Ludwik Jerzy Kern</p> <p><b>NA UCHO</b></p> <p>Zarty i anegdoki</p>	<p>Stefania Grodzka</p> <p><b>W „LAJKONIKU”</b></p> <p>Powieść satyryczna</p>	<p>Jan Kamyczek</p> <p><b>RADY DLA MŁODYCH MĘŻATEK</b></p>	<p>Adolf Dymśa</p> <p><b>PRZEPRA-SZAM, ŻE PISZE</b></p> <p>Obrazki i niedyskrety</p>	<p>Jerzy Zaruba</p> <p><b>DLA PODNIEBIENIA</b></p> <p>Książka kucharska na poważnie i na weselo</p>

WIECH  
W WARSZAWIE

## URWAŁŚ SIĘ PAN Z CHOINKI?

— Ciekawy jestem, panie szanowny, jakie to nowe budenki w nadchodzącym roku tak zwana urbanistyka Warszawie odpali?

— Jak to, jakie? Nie czytałeś pan, że przede wszystkim Filharmonie dostaniem, tam gdzie była, na Jasnej ulicy róg Moniuszek.

— Co pan powiesz?

— Tak jest. Już tegoroczny Konkurs Chopinowski po mojemu w tej nowej sali powinien się odbywać. Następnie otrzymamy...

— Chwileczkę, a co to jest ten konkurs Chopinowski?

— Coś pan się z choinki urwał, nie słyszałeś pan o niem?

— No, nie słyszałem, to co? Zabijesz mnie pan za to? Po gastronomicznych lokalach z orkiestrą mało uczęszczam, z muzykantami rzadko rozmawiam, to skąd mam wiedzieć. Zaczem się ciskać jak pchła na grzebieniu, powinieneś pan uświadomić rodaka z tej samej dzielnicy.

— No faktycznie, w taki sposób postuchaj pan. Jeden nieboszczyk fortepianista, niejaki Franciszek Chopin, którego tak marsza żałobnego zasnuwał, że nikt nie może się z nim rów-

nać, zapisał 50 patyków starymi pieniędzmi dla młodziaka, którego najlepiej ten smutny kawałek odstawi.

A ponieważ Polacy pasjamy lubieją uroczystości pogrzebowe, ważna rzecz żeby następnie po nieboszczyku znaleźć.

To też w całej Polsce gdzie tylko kawałek fortepianu się znajduje, młode chopinoszczaki w tem marszu Łopackiego się zaprawiają. A raz na rok zjeżdżają się do Warszawy i do tych wyścigów stają, którego jest faktycznie pierwszym żalobnym muzykantem.

Ale ponieważ muzyka to nie piłka nożna, gdzie od razu widać kto mocniejszy, jak osiem do zera zasunie, różne nadużycia się na tych wyścigach trafiają. Sędziowie wręczali nagrodę nie temu, kto najlepiej umiał klawisze przyduszać, tylko temu kto sprawę przez bufet przeprowadził.

I sztorcowali się przy tym nielicho, za krzesła łapali, nogi od fortepianu odkracali i narparzać się chcieli.

Albo zaczem muzyki słuchać pod fortepian się patrzyli, jeżeli jakaś nielicha dziewczynka z przyzwyczajeniami dolnymi końcówkami tego marsza odstawiła.

Jak jeden sędzia rzewnemy łzamy do pucu się zalewał, że by niby też to taki zwruszony, inszy krzyczał, że to lipa nie granie, że kolek ze śmiechu przy takiej żalobnej muzyce dostać można. Jednym słowem nie było zgody i rząd koniec końców miał tego dosyć i w jednym roku sędziów za firankie wsadził.

Na niewidzianego, w ciemno musieli sędzić, żeby było sprawiedliwie. Za same muzykie od tej pory nagroda miała być dawana, a nie po znajomości.

Jak faktycznie było, tego nie wiem, bo na tych wyścigach nie byłem, ale po mojemu to

też nie był sposób praktyczny.

Bo o wiele się weźmie pod uwagę, że każdy jeden młodziak okrągłą godzinę instrument męczył, to już przy drugim kandydacie, komisja po ciemku za firanką siedząca musiała obowiązkowo pod te smutne melodie uderzyć w tak zwane kimono. Jak ich po konkursie obudzili, to co że oni mogli wiedzieć? Rozespane, ziewające, pierwszemu lepszemu nadgodnie dawali, żeby żywo do domu kecieć, do kółka się położyć.

Albo jeżeli o wiele składała się komisja z facetów tronkowych, na palcach po cichutku, zza firanki do baru naprzeciwko się przenosiła. Bo tam faktycznie i zakąski i muzyczka nie taka jednostalna.

To też jako nieżyłociwie nie utrzymało się to długo i sędziowie apiać zaczęli sądzić naocznie, tak jak przy boksie.

Ale nie wszyscy są z tego zadowolnieni. Na przykład świeżo w „Przekroju” jeden piśmienny muzykant, niejaki Kydryński Lucjan, wziął na papier całe te sprawę. Niczego broń Boże nikomu nie zarzuca, ale nadmieniam, że nie zaszkodziło by w tegorocznym konkursie wsadzić znów sędziów za firankie.

Faktycznie, zaszkodzić by nie zaszkodziło, ale jeżeli weźmie pod uwagę, że nowa sala Filharmonii posiadać będzie ze 40 metrów szerokości i na tyle bez mała będzie wysoka, to ile że potrzeba by było pluszu na firankie? To jest dobre na zagadki umysłowe do działu „Rozmaitości”, ale jako wydatek odpada. Po mojemu jest inne wyjście. Komisji za firanką nie trzymać, tylko każdemu jednemu sędziemu oczy zawiązać i w charakterze ślepej babki na krzesku posadzić, ale tak żeby ani kimać nie mógł, ani na śledzika w oliwie najechać. Mam rację?

— Wiadomo.

Wiech

# ŚWIĘTA

Cały rok bęcwałskie cielsko  
Człapiąc rankiem z obu zer  
Pogwizduje marzytelsko:  
— WOJNA, KRIEG, WAB,  
GUERRA, GUERRE.

Ale jeden raz do roku,  
Gdy święteczną wodę goli,  
Grzmi Bęcwałski: — Pokój, pokój...  
Pokój ludziom dobrej woli!

Przez rok cały, standartowo,  
Emigranckie wraki-psyki  
O wojenkę drą się nową  
W nieboGłosy Ameryki.

Ale w święta, raz do roku,  
„Głos”, gdy z wojną już przesoli,  
Grzmi obłudnie: — Pokój, pokój...  
Pokój ludziom dobrej woli!

Tu już pióro samo rwie się,  
By nie stroniąc od schematów,  
Przejechać się po Dullesie,  
Jaki wojny zeń sympatyk.

Lecz jak na złość, w czasie świąt go  
Widzę w świetnej aureoli,  
Jak powtarza, niewiniątko:  
— Pokój ludziom dobrej woli.

A my (niech to wróg pamięta,  
Co o brzydkich rzeczach marzy)  
Trwamy co dzień, nie od święta  
Na Pokoju (serio!) strażu.

Nie potrzeba nam się winem  
Ni święteczną raczyć wodzią,  
By nieś hasło wsparte czynem:  
— Pokój światu, Pokój ludziom.

## Film

### NA NASZYCH EKRAKACH

„Złodzieje i policjanci”  
W tym filmie włoskim  
jest nie tylko wiele  
świetnego humoru i  
wzroku. Zamłarem re-  
alizatorów było dać nam  
czystą prawdę o czło-  
wieku, spojrzeć nań  
trochę głębiej niż na  
twarz czy ubranie. W  
sposób bardzo prosty i  
ładny, a przy tym nie-  
zwykle oryginalny, po-

kazano nam wcale nie  
najprostszym problemem spo-  
łecznym. Ta historia po-  
licjanta (Aldo Fabrizi)  
poszukującego w sposób  
niezwykle skompliko-  
wany, a zarazem naiw-  
ny, złodziejstwa (Foto)  
wywołuje raz szczerzy  
uśmiech, raz łezkę w o-  
ku. Bardzo nam się ten  
film podobał. Reżyseria:  
Monicelli i Steno.

## Film

### NA NASZYCH EKRAKACH



„Wakacje pana Hulot”  
Niby nic — bez fabu-  
ły, bez napięcia, bez  
kosztownej wystawy, a  
przecież czego się tknąć  
w tym filmie, to oka-  
zuje się szalenie pomy-  
ślowe, „smaczne” i dow-  
cipne. Jacques Tati —  
reżyser, scenarzysta i  
odtwórca roli głównej,  
pokazał leniwie i banal-  
ności nudnorskiej, któ-  
rych nużący bezwład i  
spokój przerywa przy-  
bycie pana Hulota. Jego  
weprowa, towarzyskość i  
nieporadność połączona  
z pechem sprawiają, że

senna atmosfera waka-  
cyjna, staje się dla wi-  
dzących jednym pasmem  
szaleniego śmiechu.  
Tati wykorzystał tu ga-  
gi i humor filmu nie-  
niemego. Dialogi zreduko-  
wane są do minimum,  
sam pan Hulot (Tati)  
nie odzywa się ani ra-  
zu, a ilustracja muzy-  
czna ogranicza się wła-  
ściwie do stale tej sa-  
mej, granej z uporem  
melodii. W tym filmie,  
to jest b. celowe. Jedną  
z najlepszych i najwe-  
senselszych komedii jakie  
ogladaliśmy ostatnio.

Kasz.



## SĄDZMY JAWNIE!

Do Redakcji „Przekroju”!

Pisząc o Konkursie Chopinowskim („Prze-  
krój” 504), Lucjan Kydryński przypomina, że  
poprzedni IV Konkurs był tajny, co zdaniem  
autora, gwarantowało maksymalną bezstron-  
ność w ocenie. „Jury znajdujące się w zam-  
kniętym pomieszczeniu oceniali na ślepo”.

Obecnie przywrócona będzie jawność oceny  
i L. Kydryński dodaje „niestety”. Pisze rów-  
nież, że warto o tym podyskutować. Chcę  
więc króciutko zabrać głos w dyskusji.

Jestem zdecydowanym  
zwolennikiem jawności  
oceny. Sądzę, że nale-  
ży mieć do jurorów  
przynajmniej na tyle  
zaufania, żeby nie po-  
dejrzewać ich o stron-  
niczość, gdy wiedzą i  
widzą kogo ocenają.  
Gdy podczas IV Kon-  
kursu członków jury  
zamknięto w ohydny  
„pudeł”, wyrażając im  
w ten sposób votum  
nieufności — było mi  
naprawdę przykro i tro-  
chę wstyd.

Żeby zresztą zadość-  
uczynić ludziom skłon-  
nym do brzydkich po-  
dejrzeń wyłącza się od  
głosowania członka ju-  
ry, gdy na konkursowej  
estradzie znajdują się  
jego uczniowie (wielcy  
profesorowie mogą mieć  
małe słabości...).

Jawność oceny odby-  
wa się — i to jest naj-  
ważniejsze — pod czuj-  
ną i wrażliwą kontrolą  
opinii społecznej, pod  
bardzo wrażliwą kont-

rolą koncertowej pub-  
liczności. Przysłuchajcie  
się okłaskom w salach  
koncertowych. Ile w  
brzmieniu braw jest  
szczeroci, jak łatwo o-  
dróżnić żywy aplauz od  
chłodnej kurtuazji.

Kontrola opinii publi-  
cznej wyklucza stronni-  
czość. Ta kontrola jest  
czynnikiem niepodde-  
cydowania szerokiej rze-  
szy muzycznej publicz-  
ności w werdykcie są-  
dowski. Dobrze więc  
się dzieje, że jury V  
Konkursu Chopinow-  
skiego jest sądem jaw-  
nym, a więc bardziej  
za swą ocenę odpowie-  
dzialnym.

Niech ma nie tylko  
uszy, lecz i oczy otwar-  
te.

H. N., Warszawa

Komentarz: Na ten  
sam temat wypowiedział  
się również pan Piecyk  
w felietonie Wiecha na  
str. 19-ej.

## ZNACZKI



rowania i stan ich zno-  
wu się pogarsza.

Rzekome „kamienie”  
pokazywane nieraz róż-  
nym niedowiarkom jako  
efekt „cudownego” le-  
czenia, kamienie prze-  
chowywane pieczołow-  
cie w pudełkach, niby  
rodzina biuteria — po  
pewnym czasie jako  
związek nieatrwały, roz-  
padają się, a wraz z nim  
ginie wiara w „cudow-  
nych doktorów”.

Dr Jerzy Polański,  
Skawina



Skrzydła  
odpowiedzi

W Czechosłowacji  
wydano obiegową se-  
rię z 5-ciu znaczków  
wykonanych szty-  
chem, ilustrującą pracę  
w różnych zawo-  
dach: 50 h. zielony,  
80 h. brunatny, 1,20  
Kč. niebieskoczerwony,  
2,40 Kč. niebieski o-  
raz 3 Kč. czerwony.

S. M.

Po jednym ze swych  
koncertów, Barbara  
Hesse-Bukowska ud-  
zieliła wywiadu  
młodemu dziennika-  
rzowi.

— Jakie utwory są  
pani najbliższe, któ-  
re grywa pani naj-  
chętniej?

— Mazurki, polone-  
zy i walce Chopina  
— odpowiedziała Bu-  
kowska.

Na drugi dzień  
przeglądając pisma,  
pianistka przeczytała  
swą wypowiedź w  
niewielkim skrócie:

„Hesse - Bukowska  
najbardziej lubi mu-  
zykę taneczną...”

TYM NUMEREM  
„Przekroju” kończy-  
my rok 1954. U naj-  
piłniejszych entuzja-  
stów naszego pisma  
pojawi się na półce  
dziesiąty rocznik  
„Przekroju”. Dziesięć  
lat! Nie będziemy się  
jednak roztkliwiać,  
nie będziemy wspo-  
minać, bilansować itp.,  
albowiem wszystko to  
robiliśmy już kilka  
tygodni temu, przy  
wydawaniu jubileu-  
zowego 500 numeru.  
Oddajmy lepiej głos  
Czytelnikom:

„Już drzę na myśl —  
pisze w związku z o-  
statnim w tym roku  
„Przekrojem” czytelnik  
Z. H. z Bydgoszczy —  
co to będzie, gdy przy-  
niósł od introligatora o-  
prawiony rocznik. Zno-  
wu przy wyrównywaniu  
marginesów poobcina  
mi masę tytułów, pod-  
pisów, zdjęć itp. Ba! Jed-  
wiec już spokój z tym  
zadrukowywaniem każ-  
dego wolnego miejscal!  
Więcej białego papieru  
po bokach stron, aby  
można było oddawać pi-  
smo do oprawy bez  
wewnętrzznego kłania”.

Przetnsje czytelnika  
są słuszne. I my mamy  
oprawne roczniki. I na-  
sze „Przekroje” mają  
poobcinate nagłówek i  
teksty. Spoglądając na  
nie, przyrzekamy każ-  
dorazowo, że już nigdy  
więcej. Ze margines be-  
dzie dla nas nienaru-  
szalnym tabu i... chroni-  
czny brak miejsca za-  
lamuje nas niemal co  
tydzień. Chcemy — dla  
waszego dobra — zmie-  
ścić jak najwięcej ma-  
teriału na naszych sz-  
esnastu stronach, a tym-  
czasem strony są tak  
niewielkie! Niemniej —  
z Nowym Rokiem przy-  
rzekamy poprawę (ale  
wątpimy czy przyrze-  
czenia dotrzymania).

Z KONCEM ROKU  
napływa do nas mnó-  
stwo listów z próbą o-  
dawne numery „Prze-  
kroju”. Nasi Czytelnicy  
zaczynają w grudniu u-  
zupełniać roczniki, wy-  
notowują brakujące nu-  
mery i starają się je  
nabyć. Niestety, zbloro-  
wo na wszystkie te li-  
sty musimy odpowie-  
dzieć negatywnie. Nie  
mamy już w archiwum  
ani jednego z wydanych  
dotychczas egzemplarzy  
„Przekroju”. Wszystko  
wyczerpane. Trudno więc  
— musicie oprawić to ko-  
macie, a od Nowego  
Roku starać się o re-  
gularne nabywanie ko-  
lejnego każdego numeru.  
Wiemy, że to ciężkie

## PANNY mają MEŻÓW

Panie Redaktorze!

Przedstawiając czytel-  
nikom w felietonie  
„Siódemka gra Chopi-  
na” („Przekrój” 504)  
polską ekipę na Kon-  
kurs Chopinowski, błę-  
dnie podałem stan cy-  
wilny dwu naszych

kandydatek: Danuty  
Dworakowskiej i Lidii  
Grychtoliówny. Na po-  
stawie młodego wieku i  
końcówki nazwiska ok-  
reśliłem je jako pan-  
ny, tymczasem tuż po  
napisaniu felietonu do-  
wiedziałem się, iż obie  
rzekome panny postaw-  
dają już mężów, a Dwor-  
akowska także i dwoje  
dzieci. Przepraszam wo-  
bec tego obie pary oraz  
Czytelników i przyrz-  
kam, że pisząc o kobie-  
tach będę odgdy przet-  
nie dokładnie sprawdzał  
czy są pannami czy nie.  
Lucjan Kydryński

## LEKARZ O KAMYKACH

Panie Redaktorze!

Kamica żółciowa (patrz artykuł dr. Antoniego Tuchendlera „Prze-  
krój” 503) zmusza często chorych do szukania pomocy u różnych  
„cudownych doktorów”, znachorów itp. szarlatanów. My lekarze czę-  
sto słyszymy od pacjentek (cierpienie to nawiedza w większości ko-  
biety), że leczą się u takiego „doktora” — kuracja poskutkowa-  
ła, pacjentka wydalila kilkadziesiąt kamieni żółciowych, jednak nadal  
czuje się słaba i nawiedzają ją nie mniej często ataki.

Cóż to za kamienie,  
które miały uwolnić ją  
od cierpienia? Otóż po-  
mysłowi „lekarze-spe-

cialiści od kamieni żół-  
ciowych” podają takim  
pacjentkom oliwę z wa-  
pnem i cholesteroliną  
(cholesterolina — związek  
chemiczny znaleziony w  
kamienkach żółciowych).  
Po spożyciu tej mikstu-  
ry, w jelitach odbywa  
się pewien proces che-  
miczny. W jego wyniku  
w stolcu pojawia się  
rozszczepiony tłuszcz w  
postaci mydeł wapnio-  
wych, zmieszany z bly-  
szącą cholesteroliną.  
Mydła te mają postać  
mniejszych lub więk-  
szych kryształków, a  
jest ich nieraz ogromna  
ilość. „Lekarz” wyjaśnia  
pacjentce, że to są  
właśnie „kamienie żół-  
ciowe”. Wiemy, że  
wzruszenia psychiczne  
złe czy dobre, mają  
wpływ na pacjenta o-  
barzonego chorobą wa-  
troby. Podatnym na su-  
gestię pacjentkom ko-  
racja ta może więc na  
jakiś, zresztą bardzo  
krótki czas, psychologicz-  
nie pomóc. Kiedy jednak  
dokonane później zdję-

cie rentgenologiczne wy-  
każe nadal obecność ka-  
mieni żółciowych — pa-  
cjentki doznają rozczą-



— Jestem dr Ko-  
wałski, weterynarz.  
Gdzie jest ten chory  
słoń?



— Już to sobie wy-  
obrażam. Frycho-  
dzimy, siadamy na  
naszych miejscach,  
kurtyna idzie w gór-  
ę i... proszę sąsiada  
aby mi stręcił pier-  
wsze dwa akty...



**KIEROWCA TAKSÓWKI  
MÓWI DO PASAŻERKI:**

**P**roszę pani, mnóstwo ludzi wygrywa na loterii. Mnie też szczęście dopisało tuż przed świętami.



**ZONA CHWALI SIĘ  
PRZED TEŚCIOWĄ:**

**M**ój mąż może spać spokojnie. Kupony od naszych losów zbieram i skrupnie przechowuję.



**KOLEKTURA**

**SPRZEDAWCA RA-  
DZI KUPUJĄCEMU:**

**L**epesz jest jako prezent noworoczny stanowczo cały los niż ówiarika: i w rzucie i na kupony, można wygrać 4-krotnie więcej.



**FIRMAWA**

**KOTT WYDAJE**

„Jak wam się podoba” — oto tytuł zbioru artykułów, recenzji i sprawozdań teatralnych Jana Kotta, który to zbiór ukazuje się w wydaniu książkowym. Wg planów PIW-u będzie w księgarniach w kwietniu 1955.

**CO PRZYWIOZŁ  
JASIŃSKI?**

Roman Jasiński, dyrektor działu muzycznego Polskiego Radia, przebywał jakiś czas w Paryżu celem uzupełnienia radiowej płyteki i biblioteki muzycznej. Podobno przywiózł on wiele interesujących płyt, w tym szereg nagrań znakomitego pianisty Solomona. Niestety, nowoprowadzane taśmy i płyty tak rzadko — i o tak nieszczerliwych porach — pojawiają się w programie radiowym, iż obawiamy się, że i z tych najnowszych nabytków radiosłuchacze odniosą niewiele pożytku.

**UWAGA CZYTELNICY!** Dziś specjalna i ostatnia okazja wygrania roweru w konkursie Polskiego Monopoli Loteryjnego. Nie musicie nic zbierać, wystarczy wyciąć trzy powyższe rysunki i przesać na adres: Polski Monopol Loteryjny, Warszawa, Żurawia 44 (przy adresie dodaj słowo „Konkurs”).

aby wiaść udział w losowaniu pięknego roweru. Pamiętajcie tylko, by oprócz nazwiska i adresu nadawcy, podać koniecznie numer Waszej kolektury! Przypominamy, że kolejny rower PML-u wygrała ostatnio W. Matuszewska z Warszawy.

**WYSTAWA  
W MOSKIEWIE**

**„RUY BLAS”  
PO POLSKU**



**GALCZYŃSKI**

Bardzo długo trudno było dostać w księgarniach poezje Galczyńskiego. Na szczęście wydawcy postanowili odrobić swoje zadanie. Po nienajlepiej zastawionym wyborze wierszy, który ukazał się niedawno, widzimy teraz „LIRYKI” poety. Zbiór ten obejmuje utwory zarówno przedwojenne, jak i powo-

jenne, poświęcone głównie tradycyjnie „liry cznym” tematom: miłości, przyrodzie, osobistym przeżyciom. Na przyszły rok zapowiedziano wybór satyry w „Czytelniku” i dwutomowy wybór wierszy w PIW-ie. Ale czy nie czas pomyśleć o pełnym wydaniu wszystkich wierszy Galczyńskiego, w wzorowo przygotowanym tomie tekstami i komentarzami. Cieszymy się, że tak właśnie ukaże się ma twórczość Tuwima. (Wydawnictwo Literackie). (b)

**NAŁKOWSKA**

Znakomita pisarka, niecałkiem zadowolona ze

**Stanisław Jerzy LEC**

**O PEWNYCH OSOBNIKACH**


Zjedzą z każdego koryta —  
byłe do syta

**FRASZKA SMUTNA**

Kiedy komuś spadną spodnie  
Trudno już je podnieść godnie.

W Moskwie otwarto wystawę rysunków J. P. Rubana. Sprzedaż na niedawno 40 dni na stacji „Biegun Północny — 4”, wykonując w ciągu tego czasu około sto szkiców, obrazujących życie badaczy okolic podbiegunowych. Ruban maluje okolice podbiegunowe już od dziesięciu lat. Zwiedził on tam niemal wszystkie wyspy.

Znany z występów Théâtre Nationale Populaire, dramata Wiktora Hugo „Ruy Blas”, wchodził w styczniu na afisz krakowskiemu Starożytności Teatru. Reżyseruje: Wilm Horczyca. Nawiasem mówiąc, wydaje się nam dziwne, że podczas kilkudniowego pobytu artystów francuskich w Krakowie, nie poproszono Jean Villara reżysera „Ruy Blasa” na odbywające się równocześnie próby teatru. Gerard Philippe, który o wystawieniu „Ruy Blasa” przez Stary Teatr dowiedział się zupełnie przypadkowo tuż przed odjazdem, wyraził ogromne zainteresowanie premierą. Czyżby krakowscy realizatorzy „Ruy Blasa” nie byli ciekawi uwag i osądów francuskich kolegów?



**PKO odpowiada**

„Przyznam się — pisze do nas Ob. H. J. z Warszawy — że dopiero niedawno uległem namowom moich znajomych i założyłem książeczkę oszczędnościową PKO. I ja tak jak każdy z nas, mam swoje marzenia których realizacja z koniecznością jest odkładana. Zachęcony przykładem kolegów otworzyłem książeczkę oszczędnościową PKO. Z każdej pensji odkładam pewną sumę ażeby wreszcie kupić adapter. I tu zaczyna się kłopot. Podobno nie będę mógł podjąć z książeczki większej sumy”.

Kłopotu żadnego nie będzie — Ob. H. J. z Warszawy. — Każda placówka PKO w Warszawie wypłaci Ob. w godz. 9.30—16 każdą sumę z oszczędności złożonych na książeczkę PKO. Na prowincji, każdą sumę z książeczki oszczędnościowej wypłaca ta placówka PKO lub Zastępstwo PKO przy GKS

w, którym zostały dokonane wszystkie wpłaty. Poza tym każdy posiadacz książeczki oszczędnościowej PKO może podejmować do 500

zł dziennie we wszystkich placówkach PKO (Oddziały, Ekspozytury), Zastępstwach PKO przy GKS oraz Urzędach Pocztywotnych na terenie całego kraju.

K-4063

**DEMOKRATYCZNY  
SAVOIR VIVRE**  
W ODCINKACH  
opracował: Jan Kłopotek

J. w Szczecinie. „Jeden z pracowników naszego biura ożenił się, ale nas o tym nie zawiadomił. Dowiedzieliśmy się od osób trzecich. Czy należy złożyć mu życzenia i dać laurkę?” — Jeśli nie zawiadomił, to nie ma powodu do składania życzeń zbiorowych i uroczystych. Jednak poszczególni koledy mogą mu powiedzieć: „słyszeliśmy, że się ożenił, serdecznie ci gratulujemy”.

**ANDRZEJ** w Krakowie. Siostro i brat moje narzeczonej nie lubią dwóch koleżanek, z którymi ja i narzeczonej się przyjaźnimy. Gdy się dowiedziałem, że na imieniny zaprosiłem również te koleżanki, nie przyszły i głośno się obraziły, że wyżej od nich cenię owe znajome. Uważam że jest to małomiałostkowe podejście do sprawy. Miałem obowiązek towarzyszyć względem tych i tamtych osób, a trudno żebym dwa razy urządził imieniny...” — Jednak to ostatnie wyjście było najlepsze. Inna sprawa, że rodzeństwo narzeczonej zachowało się niegrzecznie. A inna sprawa, że nie należy zapraszać ze sobą osób, które wyraźnie się nie lubią, bo takie zebranie jest zawsze z góry nudane.

**KTO GOŚCIŁ?**

**ZMARTWIONA** w St. Sączu. „W pociągu do Krakowa rozmawiałam z jednym z pasażerów, który zaproponował mi spotkanie. Nie zdecydowałam się od razu, no i zostałam ukarana: on wysiadł, a ja nie, wiem jak go teraz odnaleźć. Nie znam jego nazwiska ani adresu, wiem tylko, że tak jak ja lubi bajki Kerna...” — Takich, niestety, jest bardzo wielu, więc poszukać mało przydatna. Musisz, droga Zmartwiono, że niedoszłą znajomość odbotę. A na drugi raz... też od razu się nie decyduj. Lepiej mieć w tych sprawach za dużo rezerwy, niż za mało. Kolega Kern przesyła Ci piękne pozdrowienia.

**TEŚCIOWA** w Chodzieży. „Jeśli zapraszam syna z żoną na obiad, to czy wypada, by synowa pomogła mi przy podaniu i sprzątnięciu ze stołu?” — Wypada. Synowa powinna się nawet sama z tym zająć.

**W. w Sopocie.** „W towarzystwie jestem małomówny. Po prostu nie znajduję nic do powiedzenia, choć o różnych ważniejszych sprawach mam swoje zdanie. Siłą się czasem na coś weselę, ale słabo to wychodzi. Czy można jakoś zaradzić temu upośledzeniu? Lubię towarzystwo młodzi i bardzo chciałbym być na poziomie...” — Można być na poziomie w różny sposób. Jedni mają talent mówienia, drudzy talent słuchania, także ceniony, szczególnie przez niewiasty. Sam Pan przyznaje, że koleżanki pana lubią. Więc niech się Pan nie martwi i nie sili na dowcipy, które nie wychodzą. Niech pan jednak czasem spróbuje skierować rozmowę na tematy, o których istotnie ma pan coś do powiedzenia. A poza tym można spokojnie pozostać małomównym. Cecha ta może nawet zyskać panu opinię „głębokiego”. Od pana zależy, czy ta opinia będzie szlachna.

**Z. w Opolu.** „Często kłania mi się ktoś na ulicy. Mój chłopiec twierdzi, że za dużo mam tych znajomych i posadza, iż widuję ich za jego plecami (co jest nieprawdą). Jak na to odpowiadać?” — Łagodną perswazją. I zbytnio się tym nie przejmować. Zdorość należy do tych brzydkich cech mężczyzny, z którymi dziewczynie dość łatwo się pogodzić.

**„ONDYNA”  
NAJLEPSZA**

Jedynym cennym artystycznie spektaklem teatralnym Brodwayu jest obecnie sztuka piosenkarza francuskiego Giraudoux „Ondyna”, z Audrey Hepburn w roli tytułowej. Audrey Hepburn, to jedna z najmłodszych i najbardziej popularnych artystek amerykańskich. Odróżnia się tym od całej plejady szumnie reklamowanych „gwiazd” Hollywoodu, że jest rzeczywiście bardzo zdolna i bardzo ładna.

zadanie ale — do odważnych „Przekrój” należy — możnaby straszyć „konkurencyjne” przyszłowie.

**I WRESZCIE** — nadchodzi moment rozstania się z Wami na pełne dwa tygodnie. Przyjmijcie więc najlepsze, najserdeczniejsze życzenia jakie składa Wam cały zespół redakcji „Przekroju”, bawcie się dobrze i — do zobaczenia 1 stycznia 1955 roku.

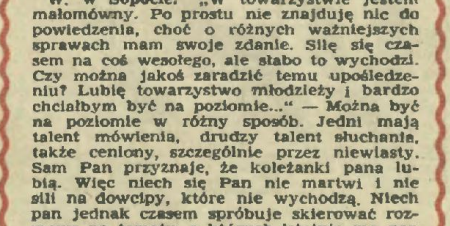


**ORKIESTRA GRA**

— A prosiłem już kolegę tyle razy, aby do grania wkładał okulary...

**KWIATKOWSKI**

W starych kronikach znalazł Tadeusz Kwiatkowski niezwykle zabawne zdarzenie: oo. Jezuiści doprowadzili w XVII w. jedną z magnatek polskich, niesychaną dewotkę, do stanu... tańczenia ze świętymi (których specjalnie prowadzali z „nieba”). Do kół tego autentycznego faktu (popartego autorytetem Kołłątaja!) zbudował Kwiatkowski „SIEDME ZACZYCH GRZECHÓW GŁÓWNYCH”, opowieść satyryczno-obyczajową, dająca interesujący obraz XVII-wiecznych stosunków w okolicach Krakowa. Jest w tej książce jakiś styl „buffo”, który sprawia, że książkę czyta się dostojnie jednym tchem. Nie radzę zaczynać przed zaśnięciem! Obwoluta książka jest zółta. Na niej śliczny rysunek Jerzego Skarżyńskiego, który również ilustrował tekst („Iskry”). (top)



**ZACZYTANY**

— Czy mówiłaś coś do mnie, kochanie?...

— Czy mówiłaś coś do mnie, kochanie?...

brzegiem, aby dojść do strzału z boku, dzik mógł wykręcić na środek jeziora, lub zawrócić. Start zapewne wahał się również — skoczyć do lodowatej wody, czy pilnować brzegu. Lecz zdecydował się przedź nie ja; dał susa i chlusa za dzikiem.

Płynął szybciej od niego, nieco w lewo i z tyłu, ale go dopędział. Wiedziałem, że już nie zdążę — za chwilę zrównają się i pies ostłoni go z boku...

Tak się też stało, tylko — nie przewidziałem, że Start zaatakuję w wodzie, mając za przedmiot ataku jedynie ów gwizd ze sterzący, ostrymi szablami.

Zaatakował! Rzucił się naprzód, trafił przednimi łapami na grzbiet odyńca, kłapnął mu nad uchem zębami i nagle znikł pod wodą osłiznawszy się po jego karku. Wynurzył się kaszając i prychnając, daleko z tyłu, podczas gdy dzik zawrócił śpiesznie ku brzegowi, na którym stałem.

Stałem teraz cicho, pochylony za osłoną szuwarów. Byłem niemal pewien, że dzik zaraz po wyładowaniu ruszy dalej w las — prosto na mnie. Oto wychodzi na lód, roztrzaska wysokie lodgi trzcin, idzie, jest coraz bliżej, za dwie sekundy wyłoni się z gąszczu...

Nie! Stał! Węszy... Stoimy naprzeciw siebie nieruchomo. Wstrzymałem oddech i czekam. Teraz słyszę, jak Start z wysiłkiem gramoli się z wody, otrząsa się na brzegu, poświście przez nos, biegnie świeżym tropem...

Odbezpieczyłem strzelbę i wtem dzik ruszył! Ruszył cwałem, ale nie na mnie, tylko w bok, wzdłuż brzegu. Dopiero później zrozumiałem, co go spłoszyło: od strony otwartych pól wracał inżynier Tatar ze swym siostrzeńcem, który pogwizdywał bez troski jakieś modne tango.

Nie miałem czasu do stracenia: pedziłem brzegiem, wzdłuż wężającego się pasa trzcin, z których

dzik musiał wreszcie wypaść na goły lód, albo uderzyć w las. Ale odległość między nami rosła. Tylko Start znów dopędział odyńca, który zresztą przestał na niego zważać usłyszawszy ów przebiej stoleczny dancingów w wykonaniu pana Władysława.

Wyłonił się o dobre sto kroków przede mną, dał susa i... cieniaki łód załamał się pod jego ciężarem.

Start bez namysłu skoczył za nim, po czym obaj skierowali się ku brzegowi. Dzik płynął pierwszy gruntując widocznie raz po raz, bo wynurzał się, to znów zapadał głębiej, jak lodotamacz torujący przejście ku zamrażalnemu portowi; pies — po kilku daremnych próbach wydobycia się na kruchą skorupę lodową — z konieczności trzymał się tuż za jego ogonem, chlapiąc przednimi łapami i skomląc z cicha.

Zdołałem tymczasem zbliżyć się o tyle, że mogłem strzelać bez obawy zranienia Starta, ale czekałem aż odyńec wyjdzie na ląd.

Wtem z lasu odezwała się Aza. Spojrzałem w tamtą stronę i zobaczyłem jak biegnie z nosem przy ziemi, płacząc się w urwanej smyczy. Była z pewnością na tropie, który dostrzegł Duda i teraz podążała w szuwar, zając do naszczykująca.

Dzik oczywiście usłyszał ją również, zdecydował się na odwrót ku środkowi jeziora i natychmiast zwrócił się przeciw Startowi.

Skóra na mnie ścierała gdy na to patrzyłem. Pies był zmęczony, zziębnięty i niemal bezbronny wobec groźnej paszczy odyńca, z którą znalazł się nagle nos w nos. Zresztą w następnej sekundzie był już pod wodą...

Mysł, że ginie, ścisnęła mi serce. Rzuciłem strzelbę do ramienia. Huknął strzał i czarny gwizd zwolna pogrzążył się pozostawiając na powierzchni czerwoną plamę farby. Lecz ja szukałem wzrokiem Starta, a nie znalazłszy go, pobiegłem naprzód przez szuwar.

Lód trzeszczał złowieszczo, woda występowała na wierzch, bulgotała w szczelinach i pęknięciach. Zapadłem po kolana, wyrwałem się, zapadłem znowu. Zostawiłem strzelbę i zacząłem pęlsać leżąc na brzuchu. Zeschle kępy traw i sitowa zastaniały mi widok; woda podchodziła coraz wyżej. Czujęm, że lada chwila wtała załamie się pod moim ciężarem...

Wtem na lewo usłyszałem znajome ciche pogwizdywanie przez nos.

— Start! — wrzasnąłem nerwowo i zwróciłem się w tamtą stronę.

Coś chlupnęło, zatapało się wśród szuwarów i zobaczyłem jak Start wparty przednimi łapami w lód na próżno usiłuje wygramolić się na wierzch. Podsunałem się jeszcze bliżej, sięgnąłem ręką, chwyciłem go za skórę na karku, zacząłem ciągnąć. Woda sięgnęła mi ust; z trudem uniosłem głowę, żeby móc oddechać. Lecz pies zyskał już oparcie dla tylnych łap i wygrzebał się wreszcie z topieli. Kazałem mu odejść dalej i sam wycofałem się z nim. Byłem zgrany jak ruda mysz, ale już po chwili dygotałem z zimna, podobnie jak pies, który jednak miał tę wyższość nade mną, że mógł się otrząsnąć. Czynił to raz po raz, obkakując mnie dookoła, przekonany, że obaj zrobiliśmy świetny kawał, który nam się nadszczytnie udał.

Tymczasem nadszedł Duda i dwaj nasi towarzysze, więc — pozostawiliśmy im troskę o wyłowienie odyńca — pomknąłem ku leśniczówce, rezygnując na ten dzień z dalszych emocji łowieckich.

Po południu przed leśniczówkę zajechał wóz z moim dzikiem. już wypatroszonym, więc wyszedłem na podwórze, aby go obejrzeć. Był bardzo duży, ale chudy jak upiór, a w paszczy na górnej szczęce miał głęboko wrosnięty kawał drutu z zerwanego wnyka.

Musiał być stary, jak na te wskazywały wytarte szable i fajki;

ważyl jednak zaledwie osiemdziesiąt kilogramów. Strzeliłem go tuż za lewym uchem i ten śmiertelny strzał zapewne uratował Starta, bo leżący ranny odyńec stratałoby by go pod wodą lub zapchnął pod lód.

Przed wieczorem słyszałem dwa strzały w stronie jeziora. Spodziewałem się, że padł co najmniej jeszcze jeden dzik. Ale myśliwi wrócili z niczym. Strzelał pan Władysław do dwóch wycinków i oba splądował, co go wprawilo w nastrój zgryźliwy i pesymistyczny.

Rozpogodził się nieco na widok smażonej wątróbki z mego chudziela i znacznej butelki o bardziej zaokrąglonych kształtach, którą inż. Tatar wyciągnął z plecaka. Przy kieliszku opowiadałem swoją przygodę za szczegółami, które uzupełnił ich świadek — Duda, gdy nagle pan Władysław jęknął boleśnie i wypluł na otwartą dłoń jakiś niewielki twardy przedmiot.

Umilkliśmy, on zaś prześwidrował mnie wzrokiem i po chwili zapytał:

— Pan tego dzika strzelał za ucho, breneką?

— Tak — odrzekłem. Bo co?

— Podał mi przez stół splaszczony kawałek ołowiu.

— To dziwne, że w wątróbce są łofki — powiedział. — Omal sobie zęba nie złałam.

Czulem, że się czerwienie, choć zarzut był niesłuszny. Jak żyję nie strzelałem łofkami do dzika, a tym razem widziałem przeciętą ranę — nie mogłem się mylić! Ba, w ogóle nie miałem naboju z łofkami!

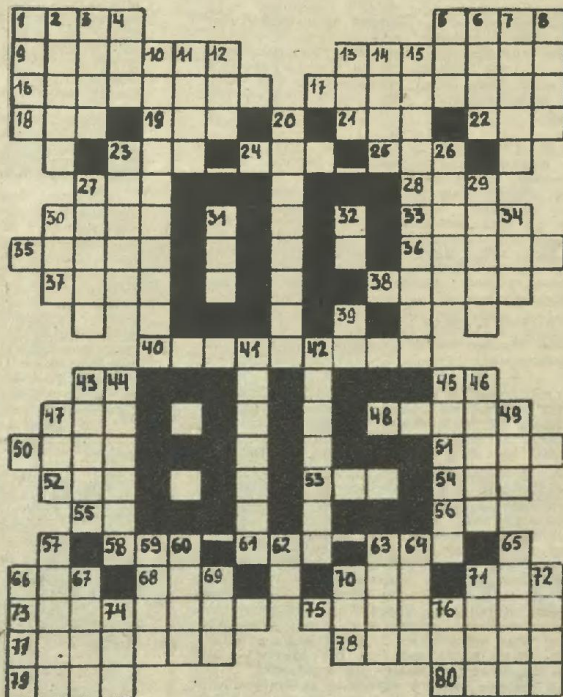
Inżynier Tatar roześmiał się z mego zmieszania.

— Niech się pan nawet nie próbuje tłumaczyć. I ja oglądałem dzika. Doskonały strzał breneką, tuż za uchem! On te łofki nosił w wątróbce przez rok, a może i dłużej.

Odetchnąłem z ulgą. I zrozumiałem, dlaczego był taki wychudzony: ktoś go postrzelił — zapewne jakiś niedzielnny myśliwiec, albo kłusownik — łofkami!

JANUSZ MEISSNER

## KRZYŻÓWKA „ORBISU” NR 4



Pionowo: 1. zakończenie dachu, 2. pośredniczy w sprzedaży, 3. pyszny z herbatą, 4. defekt urody, 5. jest poloromowy, 6. Irena pieśczioliwiec, 7. może być kumoterska (wspak), 8. tępa głowa, 9. ludzie, z którymi wiązemy dobre wroźby, 10. robi to piła, 12. jest w teatrze, 13. bierze się za to nogi, 14. Gdyby rannym słonkiem..., 15. jeśli chcesz przyjemnie spędzić czas, jedź do tej miejscowości w Pieninach, gdzie „Orbis” posiada 9 pensjonatów, 20. uzdrowisko związane z osobą Żeromskiego, w którym „Orbis” ma obecnie swój ośrodek wiejski, 23. w ciągu całego roku możesz korzystać z kom-

fortowych pensjonatów „Orbisu” w tej beskidzkiej miejscowości, 26. interesuje filatelistów (wspak), 27. huśtawka Tarzana, 29. żyje w puszczech Amozonki, 30. niepoważnie traktuje, 31 i 32. przestawione, tworzą nazwę, którą łatwo odgadniesz patrząc na krzyżówkę, 34. nosił maskę, 39. pod tytułem, 41. Śpiewają tam ryby, 42. może być elektryczna, 43. przyjemne spędzenie go najlepiej ułatwi ci „Orbis”, 44. ozdoba spodni, 45. mimo pozorów nie jest to ryba, natomiast jest to nazwa pensjonatu „Orbisu” przy ul. Orodowej w Międzyzdrojach, 48. świeci na niebie, świeci także przykłałem jako pen-

sjonat „Orbisu” przy ul. Grunwaldzkiej w Zakopanem, 47. nie karo (wspak), 49. pływa wiosną (wspak), 57. końskie pokoje (wspak), 59. nad tą rzeką leży największe uzdrowisko dziecięce, gdzie „Orbis” w swych pensjonatach nie pobiera dodatkowych opłat za pobyt dzieci w wieku do dwóch lat (wspak), 60. tytuujemy tak niewiastę, 62. nie przed, 63. chluba dawnych elegantów i dzisiejszych bikiniarzy, 64. kończyzna, której nie mamy, 65. nie południe, 66. stolica państwa skandynawskiego, 67. wyrób ze słomy w 5 przyp. 1. p., 69. popularne zakończenie damskiego nazwiska, 70. rzeka w Szwajcarii (wspak), 71. ma szale, 72. już 5 czerwca możesz jechać na wczasowy wiejski „Orbis” do tej nadmorskiej miejscowości, 74. uzdrowia (wspak), 76. poeta.

Poziamo: 1. coś na pokaz, 5. były okręt, 9. tępi chochliki, 13. niebezpiecznie koło nich przechodzić, 16. w Ameryce jest taka rzeka, a w Zakopanem pensjonat „Orbisu”, 17. jeśli marzysz o przyjemnym spędzeniu czasów, wybierz się do tego pensjonatu „Orbisu” w Kazimierzu, 18. to samo co 47 pionowo, ale nie wspak, 19. legenda, 21. nuta lub drzewo (wspak), 22. góry w 2 przyp., 23. to samo co 5 pionowo, 24. dopływ Wisły, 25. jest znana melodia na temat jej śmierci, 27. za życia pływa w wodzie, potem w sosie koperkowym, 28. to samo co 12 pionowo, 30. gospodyni kapustę, 33. to samo co 5, 35. miejscowość wypoczynkowa w woj. łódzkiem, 36. wywar, 37. kaleczy (wspak), 38. ograniczenie, 40. rurka szklana, próbkowa, 43. wchodzi w skład 13, 45. nie od, 47. to samo co 49 pionowo, ale nie wspak, 48. „Halka”, 50. „Pod gwiazdą frygijjską”, 51. instrument muzyczny, 52. prawosławny duchowny, 53. może być na galezi albo na nosie, 54. jeden z żagli, 55. do widzenia, 56. „w” w języku martwym, 58. to samo co 13, pionowo (wspak), 61. mała Izabella, 63. talon, 66. metal, 68. Robeson, 70. gotujemy w nim bieliznę (wspak) 71. okop, 73. sport uprawiany w dzieciństwie, 75. miejscowość, w której „Orbis” posiada aż 24 doskonale wyposażone pensjonaty, 77. możesz na niego wygrać, korzystając z usług ko-

lektur „Orbisu”, 78. ozdoba doniczkowa (wspak), 79. pobierał go Charon, 80. rodzaj poltury japońskiej.

Pomiędzy Czytelników, którzy nadesła prawidłowe rozwiązanie krzyżówki do dnia 31 grudnia (piątek) zostaną rozlosowane następujące nagrody:

**I NAGRODA** — 1 tygodniowy pobyt w pensjonacie „Orbisu” w górach z bezpłatnym przejazdem poc. III kl. tam i z powrotem.

**II NAGRODA** — 1 bezpłatny przelot samolotem na dowolnej linii tam i z powrotem.

**III, IV i V NAGRODA** — kalendarzyki „Orbisu” na rok 1955.

Krzyżówki prosimy przysyłać na adres Redakcji Tyg. „Przekrój”, Kraków I, skrytka pocztowa 533, z zaznaczeniem na kopercie „Krzyżówka”.

### ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NR 34

Poziamo: 1. kosa, 4. robot, 8. krab, 11. Aladyn, 13. kamera, 15. balet, 17. balloon, 18. rabat, 20. Ola (wspak), 21. era, 22. gra, 23. ule, 24. Ramon, 26. sto, 28. tunel, 30. okazja, 32. sobole, 34. Tino, 35. salka (wspak), 36. lra, 37. list, 38. ibis, 39. paki, 41. korszo, 44. suma, 47. ładaco (wspak), 49. płotek, 51. galar, 53. aga, 54. psuje, 56. Ali, 57. osm, 59. wie, 60. lut, 61. gazon (wspak), 63. Irena, 66. zlewy, 68. Joanna, 69. Lesage (wspak), 70. Arab, 71. agora, 72. cent.

Pionowo: 1. kabaret, 2. Salomon, 3. ale, 4. ryba, 5. ona, 6. oko, 7. gnat (wspak), 8. kra, 9. rabunek, 10. butelka, 12. Atena, 14. Erato, 15. Ala, 19. ale, 25. okolicz, 26. sak, 27. osa, 29. Ulysses, 31. jatka, 33. osioł, 39. poganka, 40. kolizja, 42. Ola, 43. Spa, 45. ukulele, 46. ametyst, 48. agora (wspak), 50. szept (wspak), 52. Ola (wspak), 55. wuj (wspak), 58. mina, 59. waga, 62. boa (wspak), 64. gaz (wspak), 65. Ner, 67. Lec.

Nagrody książkowe za rozwiązanie krzyżówki z nr 504 otrzymują: J. Łempicka — Stalinogród, L. Jedyńska — Warszawa, A. Jabłoński — Olsztyn, J. Białkowska — Kraków, J. Noder — Zakopane, S. Wnuk — Busko i W. Georg — Legnica.

port



## Mówi JAN CZEPULKOWSKI

mistrz sportu, mistrz i rekordzista Polski w podnoszeniu ciężarów

W przededniu kontrolnych zawodów kadry narodowej ciężarów-

ców, udają się na Bielany do AWF ażeby zasięgnąć tam języka. W lokalu katedry ciężkiej atletyki zastają asystenta Jana Czepulkowskiego. Jeszcze półtora roku temu nasz mistrz był studentem tej uczelni, dziś jest już wykładownicą. Jak ten czas leci! Rozmawiamy o podnoszeniu ciężarów:

— Czy to przejęcie ze studenta na wykładowcę nie wpłynęło ujemnie na pańskie wyniki w sporcie?

— O nie, przeciwnie — odpowiada Czepulkowski. — Trenuję teraz bardzo pilnie i myślę, że niejeden jeszcze rekord Polski pobije.

— Na to i ja liczę. Przecież pamiętam, że pan jest autorem okolo dwudziestu rekordów Polski!

— Nie przesadzajmy; tylko siedemnastu. 3 w wyciskaniu, 3 w podrzucaniu, jeden w rwaniu i 5 w trójboju. Poza tym mam na sumieniu jedno akademickie wicemistrzostwo świata zdobyte tego roku, w sierpniu w Budapeszcie.

— Który z rekordów pan zaatakuje przede wszystkim?

— Akademicki mistrz świata, Szczegółow z ZSRR miał w trójboju w podnoszeniu ciężarów 355 kg. Ja podniosłem 317 i 1/2 kg. Trzecie miejsce zajął Bulgar Abadzifew; 315 kg. Wynika stąd, że za blisko jestem tych, których pozostawiłem za sobą, a daleko mi jeszcze do przodujących. Muszę więc koniecznie poprawiać swoje wyniki w trójboju, najbardziej wszechstronnej

dyscyplinie ciężarowca. To nie będzie takie proste. Wprawdzie rekord wolno poprawić już o pół kilograma, ale przepisy zawodów zezwalają na podnoszenie co najmniej 2 i 1/4 kg.

— Nie rozumiem.

— Trójbój składa się z trzech konkurencji: wyciskanie, rwanie i podrzut. Do każdej z tych walk wolno zawodnikowi stanąć trzy razy. Przepis jest taki — że za drugim razem musi on podnieść co najmniej o 5 kg więcej niż za pierwszy. Za trzecim podejściem musi on podnieść co najmniej o 2 1/2 kg więcej niż podniósł za drugim razem. Zawodnik musi więc umiejętnie rozkładać swe siły i dobrze sobie wszystko naprzód obliczyć. Jak już wspominałem przy bicu rekordów, można „dolożyć sobie“ tylko 1/2 kg — a w walce trójbojowej musi się zachować te przepisy o zwiększaniu ciężaru od razu o całe 5 i o 2 1/2 kg. Dlatego trójbój jest trudniejszy niż atakowanie rekordu. Teraz jasne prawda?

— Jaką ma pan wagę i wzrost?

— Wzrost 159 cm — waga 67 kg. Startuję w wadze lekkiej.

— Co jest w treningu najtrudniejsze?

— Troška o... serce. O serce powinien zresztą dbać każdy sportowiec, a niestety dość częste jest lekceważenie serca. Ciężarowiec dochodzi do najlepszych wyników dopiero po 8—10 latach treningu. Podniesienie ciężaru 100 kg — to dla ciężarowców drobnyz.

— Ileż dziesiątek ton podnieście się przez te 10 lat! A serca musi przeczekać starczyć na długie jeszcze życie.

Rozmawiał ST. WROTYNY

Kładę cegły przy ceglacie, Zebym równym rzędem biegly.  
— Bardzo ładnie — powiedział ojciec Janek zadowolony. — Przynajmniej on mi wstydu nie przynosi.

— Niech tata nie przerywa artystycznie — zdenerwował się Andrzej — To nie jest koniec. Teraz on będzie musiał zacząć od początku Janek śpiewał niewzruszenie:

Tam gdzie przedtem zgruz i złom, Teraz patrzysz nowy dom.  
A ten murarz mój koleżka W nowym domu tym zamieszka  
A dzielnica ja już wiem  
Nosi nazwę MDM...

— Tacie się to podoba? — dowiadywał się Janek.

— Bardzo.

Każdą cegłą przy ceglacie Zebym równym rzędem biegly.

— A tata nie wie czasem gdzie biegną te cegły?

— To bardzo dobry żart, ha, ha — zaśmiał się ojciec Janek niepewnie.

— A tata mnie powie, co to jest zgruz i czy on zawsze musi być przedtem?

— Musi być — zdecydował ojciec Janek. Czy to jest całe przedstawienie? Czy nie będzie żadnych wesołych numerów?

— To jest nasza akademka, a nie żadne wesołe numery — pouczal go Andrzej. — To nie jest cyrk.

Najpierw jest przemówienie, potem piosenki, no i czasami tańczymy ludowe tańce, ale już na dzisiaj dosyć.

— A czy wy nie znacie żadnych bajek, albo piosenek o, bo ja wiem, o konikach czy kwiatkach czy krasnoludkach?

— Znamy, tylko że to było na akademice, tata rozumie. Dla siebie to my co innego śpiewamy.

— A co śpiewacie dla siebie?

— A, to kiedy indziej.

Panna z kawalerem  
Pod szóstym numerem —

zaśpiewał Janek cicho na próbę i spodełba spojrział na ojca.

— Co to ma znaczyć? — zerwał się ojciec Janek.

— No bo tata chciał wiedzieć, co my śpiewamy dla siebie, a teraz się tata denerwuje.

— Mówiłem ci, że nie ma co żartować — powiedział Andrzej ponuro. — Jak tata chce o krasnoludkach, to śpiewaj mu o krasnoludkach.

— Koniec trupy — wykrzyknął Janek. — Krasnoludki to też pewnie zgęszczone powietrze.

W drugim pokoju zamknięto stuganie w klawisz maszyny. Matka Janek otworzyła drzwi z klucza i dość rozczochrana, z lekko nieprzytomnym wzrokiem wyszła na korytarz.

Ojciec Janek podszedł do niej i spytał szeptem:

— Stuchaj, czy ty nie wiesz, co oni mają z tym zgęszczonym powietrzem? — zapytał.

— To nic, to nowa przedszkolanka — ziewnęła matka Janek. — Postanowiła, że trzeba im na poczekaniu wyrobić naukowy pogląd na świat. Jest trochę nadgorliwa. Weź sobie kolację z kuchni i nie puszczaj dziś płyt. Głowa mnie boli.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Ona chodzi do szkoły, to ona wie.

— Ale dlaczego mnie pytasz?

— Bo ja chciałem wiedzieć, od kiedy nie ma.

— A to co jest na górze, takie niebieskie, to co jest? — dowiadywał się Janek.

— Zgęszczone powietrze — odpowiedział Andrzej krótko. — Kryśka mi mówiła. Piekło też zgęszczone powietrze, tylko go nie widać.

— A jak się zgęszcza powietrze? — pytał dalej Janek, bardzo zainteresowany.

— To ja już wróć do roboty — oświadczyła matka Janek. — Jak ojciec przyjdzie to się wami zajmie, obiecał mi.

— Tata nie może, bo tata pracuje, a mama siedzi w domu i przepisuje z książki na kartki, to co już raz było wydrukowane tylko po to, żeby w kuchni nie siedzieć, już ja wiem — oburzył się Andrzej.

Matka Janek przekreśliła klucz w zamku.

Gdy w pół godziny później ojciec Janek wszedł do pokoju dzieci, skoczył na niego tylko Lolek.

— Gdzie są dzieci? — Zaczął dobijać się do drzwi, zza których slychać było stuk maszyny do pisania.

— Nie przeszkadzajcie mi, bo zwariuję. Nie wiem gdzie są dzieci i nie chcę wiedzieć — krzyknęła matka Janek.

Dzieci były pod oknem za zasłoną. Andrzej pociągnął za sznuręk, zasłona rozchyliła się. Janek miał na sobie szlafrok ojca i wizytowy kapeluszek matki. Andrzej był w cywilu.

— Bawimy się w teatr — oświadczył Janek. — Szykujemy przedstawienie na Święta. Ja jestem Dziadek Chłodek, bo Andrzej mówi, że Dziadek Mróz to też zgęszczone powietrze. Ale przecież ktoś musi przynieść prezenty. Niech mi tata pożyczy teczke, bo

ja nie chcę worka. Zaraz sobie zrobię wazy z plasteliny. Brody nie będzie.

— Niech tata siada, bo teraz jest próba — poprosił Andrzej. — Ja wygłoszę przemówienia, a potem Janek zaśpiewa piosenkę. Niech tata słucha, bo to ważne przemówienie. No już. Kochane dzieci. To nie do taty, bo tata nie dziecko, ale to jest próba, tata rozumie o co chodzi. Kochane dzieci. Dziś jest wielkie święto na całym świecie, gdzie ludzie pracują. Dawniej nie było świat i ludzie nie pracowali i byli sami kapitaliści i nie mieli co jeść. Ale teraz nie ma kapitalistów i już mają co jeść i wszystkie dzieci są w żłobkach i przedszkolach i kobiety teraz pracują...

— Co ty wygadujesz! — krzyknął ojciec Janek. — Potworne bzdury. Gdzie ty takie rzeczy słyszysz? Wszystko ci się pomieszało. Robisz mi tylko wstydy!

— On wygląsz piękne przemówienie na akademice w przedszkolu a tacie się nie podoba — mruknął Janek.

Andrzej obrażony usiadł na łóżku, i z pasją zaczął ugniatć plastelinę.

— Mów dalej — zreflektował się ojciec Janek. — Niech się już do wiew wszystkiego, to może sobie później jakoś rozsądniej o tym pogadamy.

— Nic nie powiem — chlpiął Andrzej. — Niech Janek śpiewa On jest drugi punkt. Bo my jesteśmy trupa.

— Tak jak trupa pana Dropsa — podskoczył Janek. — Jeżeli ty nie chcesz grać, to ja będę dyrektor trupa. Ale nie szkodzi. Mogę być.

— No to śpiewaj już — Andrzej przykleił Jankowi sumiaste, plastelinowe wazy.

— Stój sobie rusztowanie, Ja co rano staję na nie.



Matka Janek siedziała przy maszynie do pisania. Drzwi były zamknięte na klucz. W pokoju dzieci przez długi czas panowała niepokojąca cisza.

— Pewnie rozbięrają kaloryfer — pomyślała nagle matka Janek i pisała dalej. — Niech rozbięrają. Bylebym mogła skończyć tę robotę.

Po chwili jednak rozległo się gwałtowne stukanie do drzwi.

— Co jest?

— Otwieraj, muszę o coś zapytać — wołał Andrzej.

— Zapytasz mnie później, jestem zajęta.

— Ty zawsze jesteś zajęta. Ja cię w ogóle nie widzę.

— Mam pilną robotę.

— Przecież ty nic nie robisz, tylko stukasz w maszynę.

— Uciekaj, bo cię spiore, daję słowo.

— Kiedy ja tylko chcę jedno słowo.

— No to pytaj przez drzwi.

— Mama, czy przed wojną było niebo?

— Było, pewnie, że było.

Andrzej odszedł, matka Janek stuknęła dalej. Ale niedługo. Czy przed wojną było niebo? Pewnie. Ale o co chodzi?

Poszła do pokoju dzieci.

— Dlaczego się pytała o niebo?

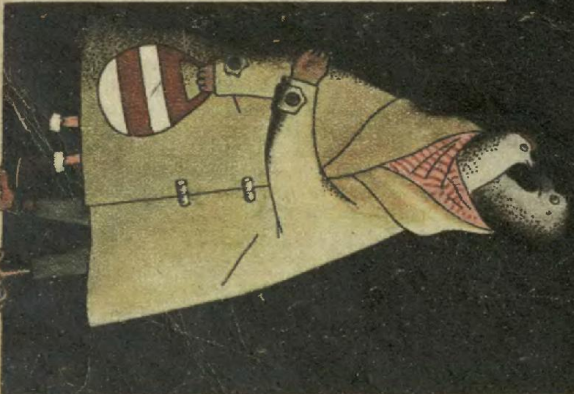
— Bo Kryśka z drugiego piętra mówi, że nie ma nieba ani piekła.

ADRES REDAKCJI: KRAKÓW, UL. MANIFESTU LIPCOWEGO 19, TEL. 559-54  
PISZĄC DO REDAKCJI PROSIMY DODAĆ PRZY ADRESIE: KRAKÓW I, SKRYTKA POCZTOWA 533  
ADRES ADMINISTRACJI: DELEGATURA RSW „PRASA“  
KRAKÓW, UL. WIŚLANA 2, III p. TEL. 558-62 — 588-41  
BIURO OGŁOSZEŃ I REKLAM RSW „PRASA“ Kraków, Rynek Główny 46/1 p. tel. 553-40

Warunki prenumeraty: Cena — miesięcznie zł 4,-, kwartalnie zł 12,-, półrocznie zł 24,-, rocznie zł 46,-. Zamówienia i preordynacje przyjmują wszystkie Urzędy pocztowe oraz listonosze właściwego rejonu doręczenia do dnia 10-go każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Informacji w sprawie prenumeraty opłacanej w kraju ze zleceniami wysyłki za granicę, udziela oraz zamówienia przyjmują Oddział Wydawnictw Zagranicznych PPK „Ruch“, Sekcja Ekspertu Warszawa, Aleje Jerozolimskie 119 — telefon 805-03. — Redakcja nie zwraca niezamówionych rękopisów, fotografii i rysunków. — Za dział ogłoszeń Redakcja nie bierze odpowiedzialności.

WYDAWCA INSTYTUT PRASY „CZYTELNIK“  
REDAKTOR NACZELNY MARIAN EILE\*  
DRUKARNIA NARODOWA PRZEDS. PAŃSTWOWE, KRAKÓW, MANIFESTU LIPCOWEGO 19





**JASTRZĄB I KURA**

Ludwik Jerzy Kern

**NIEMOŻLIWY UPOMINKI**

Rys. Eruka Lipińska



Mendes France zamkiera w przeddziałen Suicki murzacie Francuji wozere woi narodu ukia-  
dy o remilitaryzacji Niemiec Zachodnich

**DLA KAŻDEGO  
COŚ CIEPLEGO**

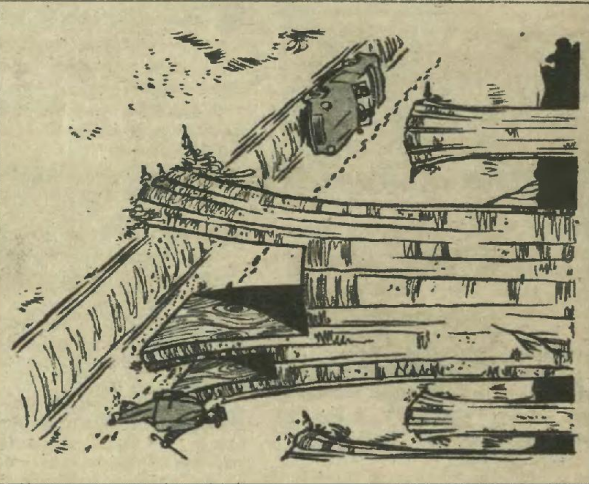
"Trybuna Robotnicza" (nr 284) podaje wśród zwycięzców swego ostatniego konkursu następujących laureatów:  
Reformy danek: Walerjan Wybraniec, Ireneusz Karol Bryja, Psykowski, Jerzy Styrkowski, Wenhawiec; Konstancja Kopylak, Błaż Biłom, Ferdynand Strykowski, Stanisław Strykowski, Stanisława Chojnacka, Stanisława Erd; Barbara Ziembicka, Danuśa Górnica.  
Nie od dziś panuje wśród ludzi przekonanie, że los jest ślepy.  
(Nadawca: J. Skrzy)

**W OLAWIE**

Miejska Biblioteka w Olawie przesłała do jednej z naszych Czytelniczek piśmiennko domagające się nauczelnictwa zwrócić na-  
stępującej kandydacie:  
Autor: Homer  
Tytuł: Śladami czołgów  
Nr Inw. lub sygnatury:  
2831  
Nie ma rady, trzeba się będzie zwrócić do nieboszczyka Homera, żeby coś takiego napisał.  
(Nadawca: St. S.)

**PYTANIE**

"Nowa Wieś" zapytała: Kiedże kolo ZMP, podobnie jak w Bleszkowie Górnym, postawiło przed sobą następujące pytania:  
— Kto uzyska lepsze wyniki, kto osiągnie lepszy pion ziemniaków, ino, Kobiła?  
— Która z dziewcząt uzyska najwyższą wydajność mleka w stromadzie?  
Nie wydaje się nam, żeby to było najgrzeczniej wyszykowane pytanie.  
(Nadawca: E. Kamiński)



Humor zagraniczny (USA)

**AKWIZYTOR  
Z WYŻKĄ**

1994  
24  
Przed pięćdziesięciu laty prasa  
400000  
Powszechnie panujący niedostatek trudności zarobku, a także materialnego budzetu rodzinnego skłonił

Wydziel wiele jeszcze, edziesz na chmurach, co w sobie kryją zimne deszcze, a mimo to, wdrze swojej jastrzębkiej naturze, woli dreptać po ziemi przy niej, przy swej kurze.

Tak go zresztą po jakimś czasie opętała, że gdy walczyć miał chętkę, jemu zał się robiło, przedzi, przepraszał kurę i przystępiał, że nigdy nie polecił w górę.

Dziś, po latach, gdy kura całkiem mu obrzydła, opuścić jej nie może, bo nie można skrzydła. Odwzajemnie. Nie mu na to już pomóc nie mogą. Jastrzębkie inne z tego nlech mają przesrostog.

W VI - 19 proc., w VII - 18,5 procent. Ogłoszenie "Krew władną sprzedam jak najszybciej, nawet za wczesne jactegołowek zejcia w godzinach wieczornych, kaszaw oerty pod "Głody studentów redakcji "Kultura Warszawskiego". W Stanach Zjednoczonych, objętych od 10 lat prohibicją, sfa, wydano w ostatnim roku 30 milionów dolarów na walkę z przemysłowymi alkoholi, a przeszło 700 tysięcy osób areztowano za pijanstwo. Ogłoszono nową latę książek, objętych wiatem autorów, których nie wolno czytać rekolikom 84: Kartezjusz, Montaigne, Diderot, Pascal, Comte, Herault, Rousseau, Spinoza, Hippolit, Taine oraz powiesciopisarze: Anatol France, Balzac, Honor Hugo, George Sand, (tzw. besty) i inni.

W 48 numerze "Nowej Kultury" w artykule "Sprawy główne polskiego formidyzmu czytamy: mianymu Gysardowi sprawy trudnił się w tym czasie i stał się ich szkolnym babcia, z jednej strony uprząszczając, z drugiej natomiast drugiej nadmiernie go wy-  
nupującego?"  
(Nadawca: W. P.)



Humor zagraniczny (Szwajcaria)

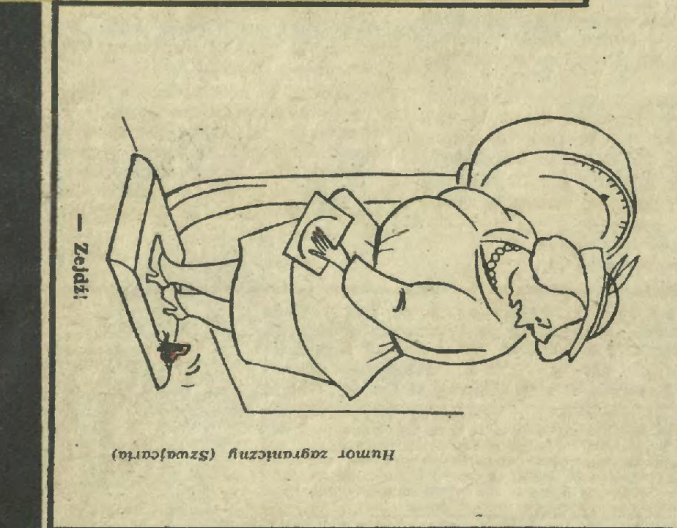


Humor zagraniczny (Szwajcaria)

Przed dwadziestu laty prasa dała donosił: Wciąż jeszcze nie wiekiem dzieci objęte wielkim szkolnym na terenie Warszawy, chodzą do szkoły. Przyczyta? Brak dostatecznej ilości izb szkolnych. Ostatnio stwierdzono, że wytyka spowolniona, że następujący odsetek znajduje się w klasach kolejnych szkoły powszechnej: w klasie I - 67 procent, w II - 67,3, w III - 60, w IV - 57,6, w V - 50,2.

Prof. Filuterk

Humor zagraniczny (Szwajcaria)



Humor zagraniczny (Szwajcaria)